Nr. LXVIII — LXIX Luty — Marzec 1939

NASZA PRZYSZŁOŚĆ



WYDAWCA I REDAKTOR: Dr. JAN BOBRZYŃSKI
ADRES REDAKCJI: WARSZAWA, ŻÓRAWIA 11 m. 8, TELEFON 9.27-61

Prenumerata

wynosi rocznie zł. 8, półrocznie zł. 4

Dziesięć zeszytów rocznie

Broszury dodatkowe otrzymują Prenumeratorzy gratisowo

Cena pojedyńczego zeszytu 1 zł.

Nr. LXVIII — LXIX Luty — Marzec 1939

NASZA
PRZYSZŁOŚĆ

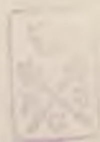


126

WYDAWCA I REDAKTOR: Dr. JAN BOBRZYŃSKI
ADRES REDAKCJI: WARSZAWA, ŻÓRAWIA 11 m. 8, TELEFON 9.27-61

Druk. „Lech“, Warszawa, Koszykowa 33. Tel. 8.90-66.

T R E Ś Ć :



Nasze odczyty w Towarzystwie Wiedzy Wojskowej

Związek Polskiej Myśli Państwowej zaszczycony został z początkiem bieżącego roku propozycją wygłoszenia w różnych ośrodkach Towarzystwa Wiedzy Wojskowej szeregu odczytów na tematy wewnętrzno i zewnętrzno = polityczne oraz społeczno= gospodarcze i to o charakterze, tonie i tendencjach odnośnych artykułów „Naszej Przyszłości".

Tow. Wiedzy Wojskowej jest potężną instytucją, mającą główny zarząd w Warszawie, a przeszło siedmdziesiąt kół w ważniejszych ośrodkach wojskowych na obszarze całego pań= stwa. Audytorjum tych zebrań odczytowych, nieraz bardzo liczne, stanowią przeważnie wojskowi, dopraszając jednak czę= sto i cywilnych słuchaczy.

Związek nasz podał Zarządowi Głównemu Towarzystwa piętnaście tematów do wyboru, których tytuły zostały zakomu= nikowane poszczególnym kołom. Te ze swej strony wybrały sobie interesujące je szczególnie tematy. Rozjechali się więc nasi prelegenci w różne strony kraju.

W chwili ekspedycji niniejszego zeszytu wydawnictwa znacz= nie zwiększa część ustalonych odczytów jest już wykonana. Z jakim rezultatem — nie naszą rzeczą jest sądzić. Krytykuje= my się sami, że z pewnością pod niejednym względem różne nasze przemówienia nie wypadły tak dobrze na wszystkich punktach, jak było to naszem pragnieniem. Ale, jeżeli tak było istotnie, to zauważyć należy, że był to pierwszy w swoim rodzaju, wielki i trudny egzamin propagandowy naszego Związku, za= szczytne, ale i trudne zadanie przemawiania po raz pierwszy do sfer tych słuchaczy, z któremi dotąd prelegenci nasi nie mieli bliższego kontaktu i dlatego nie znali właściwej „psychiki od= czytowej" tych sfer i ich mentalności w ujmowaniu różnych za= gadnień. Stąd możliwem jest, że nasz twardy, bezkompromiso= wy integralizm, z jakim stawiamy wszelkie twierdzenia i tezy, mógł się tu i ówdzie nie podobać.

Ale z drugiej strony nie brak nam licznych sprawdzianów, że właśnie takie zdecydowane stawianie spraw i postulatów trafiło w każdym razie w wielu miejscach i umysłach na grunt przychylny i podatny. Świadczy o tem przedewszystkiem już sama ta okoliczność, że niespodziewane dla nas zaproszenie ze strony Tow. Wiedzy Wojskowej wywołane zostało tylko uprzednią lekturą „Naszej Przyszłości". Następnie zaś prelegenci nasi spotykali się po odczytach z oświadczeniami poszczególnych słuchaczy w tym rodzaju, jak n. p. „Świeży powiew wieje z waszych artykułów i przemówień" — albo „Źródło świeżej wody bije z waszych postulatów", albo „Dlaczego mówi nam się takie rzeczy dopiero w dwadzieścia lat po wskrzeszeniu niepodległości?".

Z takich i podobnych oświadczeń, wypowiadanych po zakończeniu zebrań, prywatnie, a więc w chwilach, gdy żadna sztuczna kurtuazja wobec prelegenta już w żadnym razie nie obowiązywała, wnosić możemy, że akcja nasza przynajmniej w pewnym procencie zrobiła swoje i że — w myśl zresztą od dawna już przez nas głoszonej zasady — społeczeństwo polskie odczuwa potrzebę śmiałej zdecydowanej, lapidarnej dyrektywy w różnych kierunkach, choćby ją w szczegółach miało nawet krytykować.

W obecnym zeszycie rozpoczynamy publikację tych odczytów i to nietylko dlatego, aby czytelnicy nasi zaznajomili się z tem, co stało się przedmiotem pierwszej naszej większej propagandy w kraju, lecz także i z tego powodu, że całokształt tych odczytów składa się na pewien aktywny program z naszej strony.

Zarząd Związku
Polskiej Myśli Państwowej.

Duch ofenzywy jako niezbędna podstawa Nowoczesnej Psychiki Polskiej*)

Czy naród polski ma być wychowywany w atmosferze neutralności i pacyfizmu, jako ideałów?

W imieniu Związku Polskiej Myśli Państwowej, którego Zarząd oraz ideę programową mam zaszczyt w tej chwili reprezentować, składam przedewszystkiem najszczersze podziękowanie tej, tak poważnej, tak wielce użytecznej dla państwa i szeroko rozgałęzionej Instytucji, jaką jest Towarzystwo Wiedzy Wojskowej, za tak wybitny dowód jego zaufania do naszego Związku, jaki bezsprzecznie stanowi dla nas okoliczność, że Towarzystwo to, mając do dyspozycji wielu głośnych, wielce fachowych prelegentów w całem państwie, uznało za wskazane zaszczycić nasz Związek zaproszeniem do współdziałania.

Zaproszenie to zaś sprawia nam tem większą satysfakcję, że Towarzystwo Wiedzy Wojskowej zwróciło się do nas nie z jakiejkolwiek innej podniety, jak tylko z okazyjnego zaznajomienia się z treścią, specjalnym tonem i metodą ujmowania zagadnień przez nasz organ prasowy, miesięcznik „Nasza Przyszłość", w którym — według zakomunikowanego nam wyrażenia — odczuło pewien „świeży powiew".

Wielce to dla nas pochlebne wyrażenie jest może o tyle w przekonaniu naszem usprawiedliwione, że istotnie reprezentujemy pewną specjalną szkołę myśli, propagandy i akcji ogólno-państwowej, całkiem odmiennej od powszechnie znanych programów stronnictw oraz doktryn politycznych. Metody bowiem nasze ujmowania wszelakich zagadnień państwowych i społecznych, aczkolwiek nawskroś praktycznym owiane duchem, wymierzone są na akcję długofalową, w skrajnem przeciwieństwie do mentalności i taktyki wszelkich innych zespołów politycznych i gospodarczych, żyjących tylko doraźnym realiz-

---

*) Odczyt, wygłoszony dotąd w Kołach Tow. Wiedzy Wojskowej w Kielcach, Modlinie, Toruniu, Siedlcach i Przemyślu, a zapowiedziany w innych jeszcze miejscach.

mem z dnia na dzień, a unikających ustalania sobie trwalszych tez programowych i dlatego zależnych całkowicie od kalejdoskopu zmiennych, jak wiatr, konjunktur.

Stąd ujmowanie i formułowanie przez nas wszelakich zagadnień, oparte przedewszystkiem na pilnej obserwacji rozwoju stosunków i w następstwie realnych faktów, zachodzących od chwili wskrzeszenia niepodległości Ojczyzny, jak również na dobrej znajomości ducha dziejów Polski, a zwłaszcza na trudnej umiejętności wiązania ze sobą przyczyn i skutków, idzie całkiem innymi szlakami i do innych dochodzi wniosków, zarówno podstawowych, jak i praktycznych, niż wszelakie utarte i wytarte, zdawkowe hasła i krótkoterminowe postulaty, znane aż do przesytu z pospolitej areny społeczno-politycznej i gospodarczej.

Na zaproszenie Towarzystwa Wiedzy Wojskowej wysunęliśmy piętnaście tematów odczytowych o treści ogólnej i szczegółowej — wszystkie wysnute z wieloletniego doświadczenia i przemyślenia. Na pierwszy ogień uważamy jednak za niezbędne wysunąć elaborat o charakterze wprawdzie bardzo praktycznym, ale przedewszystkiem zasadniczym, mianowicie dotyczący generalnego nastawienia psychicznego, narodu — a więc temat, zawierający już doniosły program sam w sobie, na którym wszelkie inne, dalsze odczyty szczegółowe z różnych dziedzin będą się opierać.

Jest to istotnie zagadnienie pierwszorzędnego znaczenia. Tak bowiem w życiu każdej jednostki, jak każdego zespołu i wreszcie całego narodu, ostateczny, praktyczny, trwały rezultat wszelkich dążeń — i wszelkiej nawet szczegółowej pracy codziennej — zależy przedewszystkiem od nastawienia, z jakim człowiek, grupa lub naród do pracy się bierze. Oczywistym jest, że inaczej wypadnie ten rezultat, jeżeli ktokolwiek podejmie się czegoś ze zdawkową obojętnością, defetyzmem, rezygnacją, obawą lub z wązkim, podwórkowym horyzontem, a całkiem inaczej, gdy przystępuje do pracy z dalekosiężnym rozmachem, pewnością siebie i z duchem śmiałej przedsiębiorczości.

Otóż najwyższym szczytem, kwintesencją mądrości filozoficznej, którą osiągnęła i przekazała nam starożytność, był ów słynny napis, wyryty na frontonie ogólno-greckiej świątyni Apollina w Delfach: „Poznaj samego siebie!“ Istotnie, głęboka ta dyrektywa, która przez przeszło dwa tysiące lat nic nie straciła na aktualności — przeciwnie, aktualniejszą jest jeszcze w obecnych, skomplikowanych stosunkach, niż była kiedykol-

wiek przedtem — zawiera niezmierną mądrość praktyczną, gdyż żąda od ludzi zbawiennej autokrytyki, a kruszy wszelkie powierzchowne, wielce szkodliwe zarozumialstwo. Jeżeli zaś który naród winien mądrą tę maksymę do siebie zastosować, to w pierwszym rzędzie nasz, na wszystkie strony eksponowany, długowieczną niedolą srodze dotknięty i na różne pokusy i demagogiczne hasła wystawiony naród polski. Naród nasz bowiem jest całkiem specjalnym tworem, zupełnie odmiennym od innych, wykształconym w specyficznych warunkach jedynego w swoim rodzaju obszaru geopolitycznego między łacińską kulturą tak zwanego cywilizowanego zachodu a zagadkowym, bezkresnym światem Eurazji. Wielki ten korytarz wzajemnego naporu ludów wschodnich i zachodnich, w granicach zagłębia około miljona kilometrów kwadratowych między Odrą a Dnieprem i od Bałtyku do Karpat, stanowi całkiem specjalny teren geopolityczny, do którego żadne obce, wschodnie i zachodnie doktryny, systemy społeczne i teorje polityczne nie dadzą się trwale zastosować. Stąd stanowisko, cele i misja ludów tego wielkiego zagłębia, a w pierwszym rzędzie najbardziej wśród nich politycznie i historycznie wyrobionego narodu polskiego, mają swe specyficzne cechy, które wykluczają zgóry stosowanie jakichkolwiek obcych wzorów.

Jesteśmy wykształconym w ewolucji dziejowej narodem o bodaj że największej odwadze wojskowej. Pod tym względem mogą konkurować z nami chyba tylko jedni Japończycy, gdzie bezgraniczne poświęcenie dla ojczyzny jest wykwitem pewnych, bardzo silnie ufundowanych przekonań religijnych. Wszak żadnej nie ulega wątpliwości, że dziś jeszcze, każdej chwili, pierwszy lepszy szwadron szwoleżerów lub ułanów mógłby dosłownie powtórzyć wiekopomny czyn bohaterski Sommosierry. Ale równocześnie niemasz chyba narodu o podobnie małej odwadze cywilnej.

Wszak niedawno jeszcze, w roku ubiegłym, pułk bezrobotnych ochotników polskich, których Francja Bluma zaciągnęła perfidnie pod sztandary Hiszpanji Czerwonej, pobił brawurowym atakiem najlepsze wojska gen. Franco, którym nie mogły dać rady żadne oddziały czerwonych wojsk hiszpańskich i ich francuskich i sowieckich ochotników. Szkoda, że ta polska waleczność objawiła się w tym wypadku po czerwonej stronie, niemniej jednak męstwo polskiego żołnierza, nawet ochotniczego, zajaśniało w całej pełni. A cóż dopiero mówić o Rarańczy, walkach Legjonów i w r. 1920 na przedpolach Warszawy!

Tak, Polak jest urodzonym żołnierzem i mało kto dorówna mu na polu bitwy w szalonej odwadze wojskowej, byle tylko znalazł się jakiś wódz zdecydowany.

Całkiem inaczej ma się rzecz z odwagą cywilną. Pod tym względem zrobić musimy obecnie — jako naród wolny, niepodległy, zahartowany ciężkim doświadczeniem przeszłości, a przeznaczony w naszem położeniu bez żadnej wątpliwości do wielkich rzeczy — bardzo poważnie objektywny rachunek sumienia. A ten rachunek wykazuje nam odrazu na długim szeregu smutnych faktów historycznych, od średniowiecza, aż po najnowsze czasy, że niemasz chyba na całym świecie narodu o mniejszej odwadze cywilnej niż Polacy, a nieliczne wyjątki potwierdzają tylko tę walną, nieszczęsną regułę. Faktem jest, którego żadna upiększająca djalektyka nie zasłoni, że po pierwsze naród polski nigdy zwycięstw swych orężnych politycznie wyzyskać nie umiał, a powtóre, że nawet najwaleczniejszy Polak, odpasawszy szablę i zdjąwszy mundur wojskowy, staje się istotą trwożliwą, chwiejną, niezdecydowaną i niekonsekwentną. Obawia się wszystkich, śmiało naprzód sięgających pożądań i decyzji, obawia się sięgnąć z niezbędnym rozmachem poza swe najbliższe, bardzo ograniczone i utarte podwórko, lekceważy wszelką planową, konsekwentną, ekspansywną myśl o jutrze, a przedewszystkiem organicznie nie znosi zaangażowania się w jakąkolwiek akcję na nieco dłuższą metę, a stąd i nienawidzi wszelkiej, należycie zdyscypilnowanej organizacji. A na dnie tej dziwnej a szkodliwej mentalności leży w duszy Polaka słowiański „kompleks strachu“.

Mentalność ta datuje się wstecz od szeregu wieków. Wszak ostatni okres Polski średniowiecznej i cała dotychczasowa nasza historja nowożytna i najnowocześniejsza wykazują to aż nadto dobitnie, tak dalece, iż niepodobna czytać naszych dziejów ojczystych bez pewnej irytacji.

Jeszcze na schyłku średniowiecza wymogła egoistycznie a trwożliwie myśląca szlachta na królach polskich ów osławiony żołd po pięć groszy „od tarczy“, na wypadek, gdyby król, ścigając pobitego najeźdźcę, chciał poprowadzić wojska polskie poza granice państwa. Już wówczas więc ugruntowany był w umysłach tej jedynej, politycznie uprawnionej warstwy obywatelskiej zmysł tylko bezpośredniej obrony kraju przed dokonanym najazdem, którego odparcie, nieraz oczywiście przez to niedostateczne, kończyło się w pojęciach naszego rycerstwa u granic państwa.

Po zwycięstwie grunwaldzkim, gdzie nietylko militarna potęga Zakonu została zdruzgotana, ale i sami rycerze krzyżaccy niemal w pień wycięci i kiedy naturalnym następstwem tej wiktorji winno było być zajęcie całej ziemi krzyżackiej po wybrzeża Bałtyku — czemu żadna poważniejsza trudność nie stała na przeszkodzie — zmusiła szlachta polska Jagiełłę do zaniechania oblężenia stolicy krzyżackiej i....... wróciła do domowych pieleszy. Gdy rozgromiono w ogromnej bitwie pod Beresteczkiem całą potęgę tatarsko-kozacką, czego następstwem winien był być najoczywiściej pochód wgłąb Ukrainy i odzyskanie wszystkich ziem ruskich, zwycięska armja polska wróciła do domu. Gdy wnet po tem, po odparciu najazdu niemal wszystkich sąsiadów — t. zw. „potopu" — a między nimi pierwszej wówczas na świecie armji szwedzkiej, odnieśli Polacy w końcu także i wspaniałe zwycięstwa nad olbrzymią, najezdniczą armją moskiewską, odrzucając ją daleko, za dziesiątą granicę, wpadła dyplomacja polska na pomysł, niewidziany dotąd w dziejach świata, gdyż przeciwny nawet prostej logice: dla „zapewnienia sobie wiecznego pokoju ze strony chciwego sąsiada" — pobitego i odpartego — oddano mu pokojem andruszowskim ogromną połać polskich kresów wschodnich.....!

A więc po zwycięstwie, zamiast wrogowi coś zabrać, oddaje mu się własne ziemie w naiwnym mniemaniu, że go się taką osobliwą taktyką zjedna i zaspokoi! Na coś podobnego mogła wpaść tylko skrajnie już wówczas podwórkowa, trwożliwa i za wszelką cenę kwietystyczna mentalność polska!!! Podobnego przykładu rozumowania i postępowania trudno znaleźć w dziejach innych, nawet znacznie słabszych narodów.

A świetne zwycięstwa Sobieskiego pod Chocimem i Wiedniem, tak opiewane przez naszych poetów i powieściopisarzy? Cośmy konkretnego z nich zyskali? Chyba tylko poetycką legendę świstu orlich piór „skrzydlatej husarji". A nawet i tę legendę zdeptali cynicznie Niemcy austryjaccy i Czesi. Wszak cesarz Leopold nawet ukłonić się nie chciał Sobieskiemu i odprawił go z kwitkiem do Polski, a dzisiaj Wiedeńczycy i Czesi głoszą bezczelnie, że to „regularna" armja cesarska, z pułków niemieckich i czeskich złożona, odniosła właściwe zwycięstwo, przy ubocznej tylko pomocy „dzikiej jazdy polskiej" pod dowództwem jakiegoś tam elekcyjnego, wschodniego króla! A Sobieski, mimo obu wielkich zwycięstw nad potęgą Mahometa, nie odzyskał nawet niedawno przez Turków zajętego Kamieńca!

Tak, Polak jest urodzonym żołnierzem i mało kto dorówna mu na polu bitwy w szalonej odwadze wojskowej, byle tylko znalazł się jakiś wódz zdecydowany.

Całkiem inaczej ma się rzecz z odwagą cywilną. Pod tym względem zrobić musimy obecnie — jako naród wolny, niepodległy, zahartowany ciężkim doświadczeniem przeszłości, a przeznaczony w naszem położeniu bez żadnej wątpliwości do wielkich rzeczy — bardzo poważnie objektywny rachunek sumienia. A ten rachunek wykazuje nam odrazu na długim szeregu smutnych faktów historycznych, od średniowiecza, aż po najnowsze czasy, że niemasz chyba na całym świecie narodu o mniejszej odwadze cywilnej niż Polacy, a nieliczne wyjątki potwierdzają tylko tę walną, nieszczęsną regułę. Faktem jest, którego żadna upiększająca djalektyka nie zasłoni, że po pierwsze naród polski nigdy zwycięstw swych orężnych politycznie wyzyskać nie umiał, a powtóre, że nawet najwaleczniejszy Polak, odpasawszy szablę i zdjąwszy mundur wojskowy, staje się istotą trwożliwą, chwiejną, niezdecydowaną i niekonsekwentną. Obawia się wszystkich, śmiało naprzód sięgających pożądań i decyzji, obawia się sięgnąć z niezbędnym rozmachem poza swe najbliższe, bardzo ograniczone i utarte podwórko, lekceważy wszelką planową, konsekwentną, ekspansywną myśl o jutrze, a przedewszystkiem organicznie nie znosi zaangażowania się w jakąkolwiek akcję na nieco dłuższą metę, a stąd i nienawidzi wszelkiej, należycie zdyscypilnowanej organizacji. A na dnie tej dziwnej a szkodliwej mentalności leży w duszy Polaka słowiański „kompleks strachu".

Mentalność ta datuje się wstecz od szeregu wieków. Wszak ostatni okres Polski średniowiecznej i cała dotychczasowa nasza historja nowożytna i najnowocześniejsza wykazują to aż nadto dobitnie, tak dalece, iż niepodobna czytać naszych dziejów ojczystych bez pewnej irytacji.

Jeszcze na schyłku średniowiecza wymogła egoistycznie a trwożliwie myśląca szlachta na królach polskich ów osławiony żołd po pięć groszy „od tarczy", na wypadek, gdyby król, ścigając pobitego najeźdźcę, chciał poprowadzić wojska polskie poza granice państwa. Już wówczas więc ugruntowany był w umysłach tej jedynej, politycznie uprawnionej warstwy obywatelskiej zmysł tylko bezpośredniej obrony kraju przed dokonanym najazdem, którego odparcie, nieraz oczywiście przez to niedostateczne, kończyło się w pojęciach naszego rycerstwa u granic państwa.

Po zwycięstwie grunwaldzkim, gdzie nietylko militarna potęga Zakonu została zdruzgotana, ale i sami rycerze krzyżaccy niemal w pień wycięci i kiedy naturalnym następstwem tej wiktorji winno było być zajęcie całej ziemi krzyżackiej po wybrzeża Bałtyku — czemu żadna poważniejsza trudność nie stała na przeszkodzie — zmusiła szlachta polska Jagiełłę do zaniechania oblężenia stolicy krzyżackiej i....... wróciła do domowych pieleszy. Gdy rozgromiono w ogromnej bitwie pod Beresteczkiem całą potęgę tatarsko-kozacką, czego następstwem winien był być najoczywiściej pochód wgłąb Ukrainy i odzyskanie wszystkich ziem ruskich, zwycięska armja polska wróciła do domu. Gdy wnet po tem, po odparciu najazdu niemal wszystkich sąsiadów — t. zw. „potopu" — a między nimi pierwszej wówczas na świecie armji szwedzkiej, odnieśli Polacy w końcu także i wspaniałe zwycięstwa nad olbrzymią, najezdniczą armją moskiewską, odrzucając ją daleko, za dziesiątą granicę, wpadła dyplomacja polska na pomysł, niewidziany dotąd w dziejach świata, gdyż przeciwny nawet prostej logice: dla „zapewnienia sobie wiecznego pokoju ze strony chciwego sąsiada" — pobitego i odpartego — oddano mu pokojem andruszowskim ogromną połać polskich kresów wschodnich.....!

A więc po zwycięstwie, zamiast wrogowi coś zabrać, oddaje mu się własne ziemie w naiwnym mniemaniu, że go się taką osobliwą taktyką zjedna i zaspokoi! Na coś podobnego mogła wpaść tylko skrajnie już wówczas podwórkowa, trwożliwa i za wszelką cenę kwietystyczna mentalność polska!!! Podobnego przykładu rozumowania i postępowania trudno znaleźć w dziejach innych, nawet znacznie słabszych narodów.

A świetne zwycięstwa Sobieskiego pod Chocimem i Wiedniem, tak opiewane przez naszych poetów i powieściopisarzy? Cośmy konkretnego z nich zyskali? Chyba tylko poetycką legendę świstu orlich piór „skrzydlatej husarji". A nawet i tę legendę zdeptali cynicznie Niemcy austryjaccy i Czesi. Wszak cesarz Leopold nawet ukłonić się nie chciał Sobieskiemu i odprawił go z kwitkiem do Polski, a dzisiaj Wiedeńczycy i Czesi głoszą bezczelnie, że to „regularna" armja cesarska, z pułków niemieckich i czeskich złożona, odniosła właściwe zwycięstwo, przy ubocznej tylko pomocy „dzikiej jazdy polskiej" pod dowództwem jakiegoś tam elekcyjnego, wschodniego króla! A Sobieski, mimo obu wielkich zwycięstw nad potęgą Mahometa, nie odzyskał nawet niedawno przez Turków zajętego Kamieńca!

Wiedeń, gromiąc całą moc mahometańskiego świata — w ćwierć wieku zaledwie po tem wszystkie legło bezwładnie, bez bitwy, poprostu sparaliżowane biernością i kielichem wina, stając się bezwolną areną harców wojsk rosyjskich, szwedzkich i saskich, które nawet już nie z Polską walczyły, ale między sobą?! A Polska, uśpiona w absurdalnej pokojowości i kwietyźmie, leżała dla nich odłogiem, jako rzecz niczyja — terra nullius...

Oto generalne, ostateczne, a nieuchronne skutki ducha wyłącznej tylko obrony! Bo w przyrodzie, a więc także w życiu zarówno jednostki, jak zwłaszcza narodu, niema nigdy stanu stałego — a więc stanu, zabezpieczonego raz na zawsze wiecznym pokojem — tylko nieustanny ruch naprzód lub wstecz: rozwój lub zanik. I nie jest to tylko jakaś teorja, ale najrealniejsza, codzienna praktyka. Naród więc, który nie wykazuje nastawienia śmiałej ekspansji, ducha zdecydowanej ofenzywy na wszystkich polach, a przedewszystkiem właśnie we wszystkich dziedzinach życia cywilnego, musi nieuchronnie więdnąć, kurczyć się i ginąć. A w takiej sytuacji rzeczywiście największe nawet zwycięstwa orężne i poszczególne wojskowe czyny bohaterskie nic nie pomogą. Historja wykazuje, że bywają z reguły tylko przedłużeniem agonji, rozpaczliwymi zastrzykami dla zamierającego organizmu.

Przeciwnie, naród o nastawieniu ogólnie i zasadniczo ofenzywnym, a więc przeniknięty duchem ekspansji na wszystkie strony i posiadający wielką umiejętność wykorzystywania nadarzających się pomyślnych okazji dziejowych — nietylko zaborczych, ale i gospodarczych, kulturalnych i propagandowych — zniesie łatwiej nawet chwilową klęskę orężną i szybko się z niej podniesie. Już chyba podziwu godny duch ofenzywy naszego zachodniego sąsiada, który w ciągu dwudziestu lat uwolnił się bardzo zręcznie, z żelazną konsekwencją z pod jarzma traktatu wersalskiego i nietylko odbudował, ale i powiększył jeszcze swą przedwojenną potęgę, winien być dla nas pod niejednym względem (oczywiście nie pod każdym) wymownym i naśladowania godnym przykładem. Jeżeli mamy wogóle marzyć o prawdziwem zabezpieczeniu egzystencji niepodległej Polski na daleką przyszłość i o jej jakimkolwiek mocarstwowym rozwoju, *to pierwszym i niezbędnym warunkiem jest gruntowna, do najgłębszych komórek psychiki sięgająca zmiana nastawienia polskiego ducha z defenzywy na ofenzywę i to na każdem polu.* A pod wyrażeniem „duch ofenzywy" rozumiemy nie jakąś awanturniczą agresywność zbrojną, ale śmiałą, zdecydowa-

ną prężność mentalności polskiej w każdej dziedzinie: wiedzy naukowej, nie ulegającej trwożliwie przed chwilowo modnemi hasłami demagogji, ale stwierdzającej z uderzeniem pięścią w stół objektywną prawdę, dalej rozmach zdobywczo-finansowy, do czego wcale nie potrzeba licznych miljardów, gdyż wystarczy odważna przedsiębiorczość kupiecka, wspomagana mądrze przez państwo, dalej inicjatywę rządową i prywatną w każdym kierunku, nie paraliżowaną bezmyślnym biurokratyzmem i krótkowzrocznym fiskalizmem, a wreszcie — i nadewszystko — *śmiałe, świadome celu pożądania ekspansywne ogółu społeczeństwa polskiego.*

To ostatnie jest najważniejsze. Bo pożądać czegoś cierpliwie a konsekwentnie, przygotowywać to sobie zawczasu na moment korzystnej okazji, którą prędzej czy później zawsze nastręczy historja, znaczy zapewnić sobie pozytywny rezultat. Otóż tej właśnie, niezbędnej dla każdego żywotnego narodu umiejętności konsekwentnego rozwiązywania ważnych zadań dziejowych na pewną dalszą metę — co oczywiście wymaga przewidującego rozmachu i mądrze temperowanego ducha ofenzywy — nie wykazywali Polacy od szeregu wieków aż po ostatnie czasy. Przeciwnie, wszystkie te wielkie zadania po kolei przegrywali: pogrom Zakonu krzyżackiego, sprawę bałtycką, sprawę ruską, problem miast, a zatem tworzenie rdzennie polskiego, nowoczesnego przemysłu i kapitału, problem czarnomorski i inne, nawet problem własnego, wewnętrznego ustroju, przystosowanego do rdzennie polskich potrzeb i stosunków i mającego cechy trwałości. A przegrywali dlatego, że takie walne państwowe i narodowe cele wymagają właśnie ofenzywnego nastawienia i konsekwentnej pracy na dłuższej fali. Dotychczasowy zaś nastrój polskiej psychiki był i jest wręcz temu przeciwny: tylko defenzywa, gdy kryzys lub niebezpieczeństwo już u progu i wyłączne zaabsorbowanie konjunkturą dnia. Wszelka inicjatywa, wszelka planowość, wszelka celowa myśl o jutrze w jakiejkolwiek dziedzinie paraliżowane bywają odrazu przez fałszywie tak zwaną „poważną myśl społeczeństwa" pogardliwym frazesem, że to niedość „realne i konkretne". Bo realnem i konkretnem jest dla umysłu polskiego tylko to, co chwilowo jest modne, gotowe, co już upieczone na talerzu leży.

Kapitalna omyłka — gdyż bardzo często te aktualistyczne„ niby „konkretne i realne" wartości i sprawy polityczne lub gospodarcze, któremi społeczeństwo polskie aż nazbyt się przejmuje, okazują się wkrótce potem mgłą, pozostawiając po

sobie zawiedzione nadzieje. Prawdziwie zaś realnem i konkretnem, w korzystnem tych słów znaczeniu, może stać się najczęściej tylko to, co zawczasu, na dłuższą metę zostanie dobrze przemyślane, zainicjowane i konsekwentnie przeprowadzone.

Na razie żyjemy wciąż jeszcze w paradoksach między hasłem mocarstwowości a trwożliwem nastawieniem, między przesadnem zaabsorbowaniem złudnym realizmem chwili bieżącej a wstrętem do celowego organizowania daleko realniejszej przyszłości, między odezwami do wyścigu pracy oraz gospodarczego i społecznego podwyższenia, a ustrojem i nastrojem, które wręcz przeciwne są realizacji tych szczytnych odezw.

To jest groźne i temu trzeba nareszcie kres położyć. *Nowoczesna, do wielkich zadań z konieczności swego położenia powołana Polska wymaga imperatywnego wykształcenia — i to w jak najbliższym czasie — nowego, odpowiedniego typu Polaka.*

Ten nowy typ Polaka — o którym prawią wciąż wybitni mówcy z różnych obozów i gazety wszelkich kierunków, ale prawią mglisto, nie będąc wstanie sprecyzować dokładniej tego pojęcia — musi być wręcz antytezą miękkiego Polaka, naiwnie szlachetnego, ale niepraktycznego, politycznie trwożliwego i o podwórkowo wąskim horyzoncie, a więc typu nietylko z ostatnich dwudziestu lat wskrzeszonej niepodległości, ale i wogóle z ostatnich czterech wieków. Musi Polak nowoczesny, przy całej czci dla rycerskiej swej tradycji, przełamać swą karłowatą, wyłącznie defenzywną podwórkowość, nacechowaną bojaźnią przed perfidną krytyką tak zwanej „cywilizowanej Europy", a natomiast rozpierać się śmiało łokciami wśród spryciarskiej dyplomacji wschodu i zachodu. Musi ten nowy typ mocarstwowego Polaka nietylko zdusić w sobie wszelki kompleks wyłącznej obrony i bojaźni, który każe mu padać plackiem przed każdym, chwilowo modnym zagranicznikiem, ale i własny, śmiesznie krótkowzroczny aktualizm, który przecież nie jest niczem innem, jak tylko eksperymentowaniem w próżni z dnia na dzień na platformie czczych haseł doktrynersko - demokratycznych i doktrynersko - mocarstwowych.... bez głębszej, realnej, konsekwentnej treści i akcji.

Faktem jest bowiem niezbitym, eliminującym wszelkie szumne frazesy, że polityczny nasz polski aktualizm, komunikowany nam nader subtelnie w przeróżnych enuncjacjach, w inspirowanych artykułach dziennikarskich i przez radjo, jest tylko rzeczywistością urojoną, obliczoną na filisterską mentalność kawiar-

nianego lub tramwajowego słuchacza, a nie tą rzeczywistą rzeczywistością, o którą nam chodzi i która winna stanowić prawdziwą współpracę wysokiego polskiego intelektu prywatnego z Rządem Rzeczypospolitej. Myli się kapitalnie każdy minister i wogóle każdy „wtajemniczony" działacz polityczny, że może prowadzić skuteczną politykę, lekceważąc indywidualizm prywatnych sfer społeczeństwa polskiego. Niech uprzytomni sobie każdy z nich, że bez zdecydowanego nastawienia i poparcia ze strony polskiej opinji publicznej w ostatecznym rezultacie nic konkretnego, a zwłaszcza trwałego nie dokona. Atawistyczna potęga inercji polskiej psychiki zużyje najwybitniejszego męża stanu, który nie dołoży najpierw starań, aby z biernego, organicznie defenzywnego polskiego tłumu, trzęsącego się ze strachu przed własnym cieniem, nie urobić i wykształcić całkiem nowoczesnego typu śmiałego, zdecydowanego, bojowego w każdym kierunku Polaka.

Ale w tym celu zdusić należy niemiłosiernie dotychczasowy typ krótkofalowego realisty i gieszefciarza, bo — mimo wszelkich swych kardynalnych błędów — ma rację Hitler, twierdząc, że *tylko ideowiec jest prawdziwie wartościowym czynnikiem w państwie*. Wynoszony dziś na piedestał typ gieszefciarza-realisty lub doraźnego politykiera jest dla polskiej idei mocarstwowej — zarówno politycznej, jak i gospodarczej — najszkodliwszą fikcją, gdyż petryfikuje staropolską podwórkowość, paraliżuje rozmach ekspansywny narodu i zgóry przekreśla wszelkie, właśnie najrealniejsze i najdonioślejsze zadania przyszłości. Zdać sobie trzeba dokładnie sprawę z tego, że sytuacja bieżąca, jako rezultat krótkowzrocznej przeszłości, nie jest już w naszej mocy, a natomiast w mocy naszej jest odważne, planowe, konsekwentne przygotowanie przyszłości państwa i narodu na bliższą i dalszą metę. Ale to wymaga imperatywnie zdecydowanego przekreślenia płaskiego, doraźnego aktualizmu i nasterowania polskiej psychiki w kierunku planowej budowy przyszłości w każdej dziedzinie.

Na tem polega najgłębsza istota różnicy między pierwszorzędnym narodem o realnych planach i aspiracjach mocarstwowych, a podrzędnym społeczeństwem, trzymającym się kurczowo i bezplanowo tylko chwilowych konjunktur politycznych i doraźnego, iście izraelskiego tańca dokoła złotego cielca.

Na tych zasadniczych podstawach, które winny wejść w krew i kość nowoczesnego polskiego społeczeństwa, należy przedewszystkiem wyzwolić się z pod władzy faktycznego „czwar-

tego zaborcy", którym są narzucone nam bardzo sprytnie z zewnątrz wszelkie doktryny demokratycznej miękkości i społecznego przymusu, znajdującego swój wyraz w licznych ustawach i urządzeniach ustroju państwowego i społecznego. Urządzenia te mają być niby wyrazem postępu, humanitaryzmu i dobrodziejstw etatystyczno-społecznych, ale w gruncie rzeczy są rezultatem prastarej doktryny socjalistycznego przymusu i międzynarodową konspiracją, zmierzającą do celowego paraliżowania mocarstwowego rozwoju Polski w zakresie politycznym i społeczno-gospodarczym. Bezwzględne obalenie tych demagogicznych fetyszów ustrojowych, nacechowanych pierwiastkiem społecznego niewolnictwa i „dobroczynnego przymusu", jest najpierwszym z kolei zadaniem wszelkiego prądu, szczerze mocarstwowego. Precz z wszelkiem naśladownictwem wzorów zagranicznych — oto kardynalny, najbardziej realny warunek skutecznego startu narodu polskiego do jakiejkolwiek mocarstwowej roli. *Wolność i swobodna inicjatywa odpowiada najlepiej i najskuteczniej polskim stosunkom i rdzennie polskiej psychice.*

Nam zbyt dotąd jeszcze imponuje pierwszy lepszy zagranicznik — Francuz, Włoch, Anglik, lub Niemiec — którego świadomie lub podświadomie usiłujemy naśladować. Przyjazd pierwszego lepszego cudzoziemskiego komiwojażera, politycznego lub finansowego, do Polski wprawia notorycznie w histeryczne drgawki najpoważniejszych nawet Polaków i całą prasę. Oduczmy się tego! Jeżeli jakiś zagranicznik chce od nas czegoś, to niech skromnie przyjedzie i czeka na przedpokojach, aż go raczymy przyjąć i bardzo krytycznie wysłuchać. W tem leży najskuteczniejsza taktyka polityczna i gospodarcza Polaka, jeżeli na serjo pragnie zrealizować dobry interes i stanąć rzeczywiście w pierwszym szeregu narodów mocarstwowych. Ale i w tem właśnie niezbędne jest owo nastawienie ofenzywy, o którą w niniejszym referacie nam chodzi. Wszak ciągle jeszcze przeżywamy wstyd i kompleks niższości, że przed każdym, byle jakim zagranicznym spekulantem, dyplomatycznym lub finansowym, który raczy przybyć do Polski niebieskim ekspresem z gestem lekceważenia, najpoważniejsi nawet Polacy padają plackiem i antyszambrują mu od rana do nocy, jak słudzy.

To właśnie musi radykalnie się zmienić. Anglik, Włoch, Niemiec, czy nawet Amerykanin, przybywający z obietnicą swych dolarów, muszą nauczyć się wyczekiwania w ogonku

w naszych urzędach i firmach prywatnych. Tylko taka taktyka jest godna narodu o prawdziwych, a nie urojonych aspiracjach mocarstwowych i najrealniejszym warunkiem zdobycia szterlingów i dolarów na korzystnych warunkach. Te warunki bowiem my winniśmy dyktować zagranicznym obieżyświatom, a nie poddawać się z upokarzającą czołobitnością ich dyktandu.

Tę podstawową taktykę musi nareszcie każdy Polak w żywotnym interesie swej Ojczyzny zrozumieć i z wyniosłą konsekwencją w każdym wypadku realizować. Kto do nas się zwraca, ten oczywiście nas potrzebuje i temu mamy prawo i logikę dyktować warunki — a nie na odwrót!

Wszystko powyższe odnosi się zwłaszcza do obecnej doby, gdy Europa i świat cały ruszyły się zbrojnie i dyplomatycznie po dwudziestu latach sztucznej narkozy zakłamanego pacyfizmu, w którym uśpiła ten świat bardzo sprytnie kolosalna konspiracja masońska, dyktująca ongiś całej kuli ziemskiej, a zwłaszcza kontynentowi Europy „tymczasówkę“ traktatów paryskich 1919 r. Skonstruowany wówczas sztuczny, prawdziwie talmudystyczny stan rzeczy na świecie, wraz z obrzydliwem oszustwem paktu Ligi Narodów, nie mógł utrzymać się w nieskończoność wobec rzeczywistej rzeczywistości. Zdemaskowały się judeo-bolszewickie koncepcje, a różne narody Europy i Azji zbuntowały się zbrojnie przeciw spryciarskiej robocie wszechświatowych masonów — od Wilsona do Lenina. Włochy, Hiszpanja, Niemcy, Japonja, a w pewnym sensie nawet i opanowana obecnie przez szczep gruziński Rosja, zbuntowały się bezwzględnie przeciw obleśnie dyplomatycznemu status quo znarkotyzowanej perfidnie Europy. I mają rację, choć oczywiście ich antywersalskich doktryn i metod totalistycznych nie aprobujemy, a wszelkie metody „czerwone“ bezwzględnie negujemy i zwalczamy.

A Polska? Czyż ona jedna ma ulegać niewolniczemu, zastraszonemu pacyfizmowi, narzuconemu jej przez masonerję francuską i amerykańską? Ostatni czas, aby potargać więzy tego czwartego zaborcy, który z wielką znajomością atawistycznego pacyfizmu i kwietyzmu ducha polskiego wyłącznej tylko defenzywy trzyma nas na sznurku i straszy fantomem gniewu Europy lub naprzemian fantomem „zemsty świata pracy“ przed każdym naszym zamiarem nieco śmielszego, politycznego lub społeczno-gospodarczego posunięcia!

Wmówiono w nas z zagranicy — mamy na to cyniczne prasowe dowody — najrozmaitsze, rzekomo niewzruszalne, iście murzyńskie fetysze tchórzliwego pacyfizmu i tak zwanych „zdobyczy postępu", które żadnym nie są postępem, ale mają ostatecznie na celu sparaliżowanie gospodarczego rozwoju i politycznej ekspansji polskiej. Mają na celu przekreślenie wszelkich organicznych zadań i naturalnych kierunków prężności narodu i państwa polskiego, przekreślenie całej naszej realnej misji dziejowej i zahamowanie rozszerzenia sfery naszych żywotnych interesów w kierunku Bałtyku, basenu dunajskiego, Morza Czarnego i na wschód. Gra idzie o to, żeby tam wszędzie uprzedziły Polskę swastyka niemiecka, cezaryzm, czyli manja wielkości włoskiego faszyzmu oraz funty szterlingów i dolary. Aby to mogło w odpowiednich etapach nastąpić, straszy się Polskę, żeby była grzeczna, układna, skromna i pacyfistycznie nieszkodliwa za wszelką cenę. A bohaterskie pod względem wojskowym społeczeństwo polskie daje się brać na ten wszechświatowy kawał i w śmiesznej tchórzliwości cywilnej usprawiedliwia się i legitymuje przed całym światem, że jest najgrzeczniejszem ze wszystkich narodów, najuroczystszem naczyniem ascetycznej abnegacji i wiekuistego pokoju!

Jaskrawym, hańbiącym dowodem tego defetystycznego nastawienia był bezdyskusyjny fakt, że gdy po szeregu wieków oddawania sąsiadom swych terytorjów zdobyła się Polska nareszcie na trwożliwą odwagę arcyskromnej rewindykacji drobnych skrawków śląskiego i góralskiego pogranicza, to poważni obywatele warszawscy, z którymi mieliśmy okazję o tem mówić, ostro krytykowali to „wdawanie się Polski w jakieś agresywne awantury"....!!

Wybaczcie, zacni rodacy, twarde słowa prawdy, że naród o takiem nastawieniu nie może nawet marzyć o jakiejkolwiek mocarstwowości i rozwoju gospodarczym.

Jeżeli więc wszelakie szczytne hasła patrjotyczne i mocarstwowe, które słyszymy ustawicznie z przemówień oficjalnych, półoficjalnych i prywatnych, a któremi karmią nas zwłaszcza trybuna parlamentarna i propaganda radjowa, nie mają być pustą djalektyką, ale przyczynić się mają na serjo do uzyskania jakichś pozytywnych, trwałych rezultatów, to musi naród polski bezwzględnie pozbyć się wszelkiej doktrynerskiej, po przodkach odziedziczonej i przez paraliżujący wpływ obcych agentur spotęgowanej bojaźni, a natomiast nauczyć się śmiałego rozpierania się łokciami na terenie własnej ojczyzny i na arenie mię-

dzynarodowej. Musi zdusić w sobie krótkowzroczny, doraźny aktualizm, a uznać za rzecz najrealniejszą planową pracę przyszłościową na długiej fali. Musi nauczyć się wielkiej sztuki konsekwentnego rozwiązywania wszelakich zadań politycznych i gospodarczych na dłuższą metę — aż do pozytywnego skutku.

Polska — w szerokim, geopolitycznem tego słowa znaczeniu — jest tworem politycznym, etnograficznym i geograficznym o cechach specjalnych, w niczem nie podobnych do innych państw i narodów Europy, zarówno wschodniej, jak zachodniej. Stąd wynika, jak już wspomnieliśmy wyżej, że żadne obce doktryny, prądy i wzory nie mogą być dla Polski stosowne i korzystne. Ustrój, nastrój i dążenia narodu polskiego nie mogą się pod żadnym względem wzorować na cudzych przykładach. Kraj nasz znajduje się w specjalnie drażliwem położeniu między łacińsko-germańskim zachodem a Eurazją. Leży więc w punkcie krzyżowania i ścierania się dwóch, całkiem odmiennych cywilizacji i dwóch, wręcz sobie przeciwnych dążeń zdobywczych, które pragną rozegrać wielką walkę na naszym terenie. Nadto racją stanu Polski, nietylko moralną, ale i polityczną, jest jej rola twierdzy katolicyzmu, bez którego — wbrew powierzchownemu mniemaniu wyznawców patrjotyzmu materjalistycznego — Ojczyzna nasza osłabłaby odrazu między kleszczami dwóch światów pogańskich od wschodu i zachodu.

To wszystko razem narzuca nam imperatywnie, bezdyskusyjnie następujące walne wytyczne programowe:

1) Konsekwentną, żadnemi chwilowemi konjunkturami nie wzruszoną dążność całego prywatnego społeczeństwa polskiego do regeneracji idei jagiellońskiej — oczywiście w nowoczesnej szacie — i skupienia dokoła państwa bloku wszystkich mniejszych i słabszych narodów, umiejscowionych w trójkącie politycznego niebezpieczeństwa między Bałtykiem, Adrjatykiem i Morzem Czarnem. A ośrodkiem krystalizacyjnym tego bloku, w różny sposób między sobą spojonego, muszą być dwie, w Warszawie krzyżujące się linje polityczne: Warszawa — Budapeszt oraz Warszawa — Kijów. Bliższe wyjaśnienie znaczenia tych obu linji i całej tej koncepcji „Bloku narodów środkowo-wschodniej Europy" wychodzi już poza ramy niniejszego, ogólnego referatu i stanowić będzie temat jednego z dalszych, szczegółowych, specjalnie tej sprawie poświęconych odczytów, objętych całokształtem programu naszej szkoły politycznej i propagandy.

2) Zerwanie pęt czwartego zaborcy, mianowicie osłabiającego wpływu obcych agentur, które w naszej polityce, dyplomacji, prasie, przemyśle, handlu, finansach, literaturze i na wielu innych jeszcze polach daleko większy mają wpływ, niż to sobie powierzchowny obserwator może wyobrazić. Ten wielki temat stanowić będzie również przedmiot specjalnych naszych referatów, a narazie niech wystarczy kategoryczne twierdzenie, że wiele stron, haseł i prądów naszego współczesnego patrjotyzmu okazuje się przy głębszej analizie rezultatem bardzo sprytnej, a perfidnej akcji różnych wrogich mocy, zmierzających do jednego celu: utrzymania Polski w stanie stałego osłabienia pod względem tężyzny moralnej, ustrojowym, społecznym, gospodarczym i naturalnego, ekspansywnego rozwoju.

3) *Zdecydowane przełamanie i przekształcenie polskiej psychiki z nastawienia pacyfistycznej defenzywy na ofenzywę pod każdym względem.* Inaczej nie damy rady zachłannemu naporowi Niemców i Moskali, naszych odwiecznych wrogów, którym Polska stoi na drodze do realizacji ich organicznych, historycznych rozpędów: niemieckiej akcji kolonizacyjnej w kierunku wschodnim i rosyjskiego pędu do bezpośredniego kontaktu z wyższą cywilizacją zachodu.

Uświadomić sobie przy tem należy, że w obu tych organicznych dążeniach naszych sąsiadów na wschód i zachód sprawa chwilowego ustroju obu tych państw jest w istocie rzeczą przemijającą i drugorzędną. Hitlerowiec nie różni się pod tym względem niczem od dawnego hakatysty, a bolszewik niczem od dawnego carskiego czynownika. Jedna jest tylko w całej tej olbrzymiej rozgrywce współczesna różnica z dawnymi czasy i to na naszą niekorzyść: że gdy dawniej Rosja i Niemcy działały tylko siłą fizyczną, to dzisiaj służą im do osłabienia Polski — bezpośrednio czy pośrednio — także gangrenujące doktryny moralnego i społecznego rozkładu w postaci komunizmu, masonerji, neopoganizmu, nadużycia haseł demokratycznych i bojowych placówek w postaci sekt wszelkiego rodzaju, niby chrześcijańskich, a w gruncie rzeczy żydomasońskich i wywrotowych.

Jednym z bardzo dotkliwych rezultatów działania tej, przez obce agentury zatrutej atmosfery w Polsce jest nasz nieszczęsny ustrój i nastrój gospodarczy. Prawi się szumnie o wyścigu pracy, o gospodarczem podniesieniu się kraju, a w rzeczywistości ulega się różnym demagogicznym, etatystycznym i wprost socjalistycznym fetyszom, wbitym w polskie mózgi przed dwu-

dziesty laty, które przdłużają i pogłębiają beznadziejnie kryzys gospodarczy, obniżając naród nasz cynicznie i celowo do poziomu żebraków.

Wmówiono w nas, że obdarty, niepiśmienny proletariusz jest szczytem polskiej obywatelskiej kultury, dla którego konstytucja i wszystkie inne ustawy są spreparowane. Wszystko zaś, co kulturalnie i majątkowo wznosi się choćby nieco ponad ten osobliwy ideał obdartego proletarjusza, jest właściwie wrogiem nowoczesnego państwa i winno być prawnie, administracyjnie i fiskalnie ścigane i gnębione. P. K. O. wzywa szumnie do oszczędności i kapitalizacji, a cały aparat fiskalny państwa ściga, jak przestępstwo, każdy grosz, nawet uczciwie zarobiony. Wzywa się do wyścigu pracy, a równocześnie socjalistyczny aparat opieki społecznej nakłada kary i grzywny za chęć do pracy, demoralizując w ten sposób najszersze sfery społeczeństwa.

Gdzież w tem wszystkiem jakikolwiek ślad choćby tylko prostej logiki? I tu znowu atawistyczne polskie tchórzostwo cywilne — wspomagane występną demagogją prasy i niezliczonych kandydatów do mandatów sejmowych lub portfelów ministerjalnych — wzdraga się przed energicznem, prawdziwie patrjotycznem i mocarstwowem zwaleniem tych niby nienaruszalnych bałwanów „szczęścia ludu i postępu". Ani jeden minister w odrodzonej Polsce nie miał dotąd odwagi cywilnej i prawdziwego ducha ofenzywy, aby rąbnąć śmiało toporem w cały ten, najoczywiściej antypaństwowy stan rzeczy. Wszyscy cofają się lękliwie przed śmiesznym fantomem „gniewu ludu", któremu nie śniłoby się nawet wystąpić przeciw zniesieniu ustaw i urządzeń demagogicznych. Protestowałaby co najwięcej garstka redaktorów radykalnych gazet, żerujących i istniejących właśnie tylko na sztucznem podniecaniu przebrzmiałej już w istocie walki klasowej i wyżej wspomniana sfera wiecznych kandydatów do mandatów i dyjet poselskich, z którą jednak Rząd zdecydowany mógłby łatwo zrobić porządek.

I zadać należy sobie objektywnie pytanie: czy taka proletaryzująca się i odzierająca ludzi ze skóry Polska, na którą, jak dobrze wiadomo, narzekają srodze nawet rdzenni Polacy, może wywierać jakąkolwiek siłę atrakcyjną na otaczające ją narody, które ongiś wchodziły w skład wielkiej Rzeczypospolitej, a dzisiaj w gruncie rzeczy dlatego opornie są wobec Polski usposobione, a niekiedy nawet spiskują przeciw niej z obcemi potencjami i agenturami, bo widzą, że w demagogicznym i etatystycznym

ustroju gospodarczym Polski trudno jest, nawet przy uczciwej pracy, coś zarobić i wznieść się na wyższy poziom życia? A w tem leży najistotniejsze sedno zagadnienia Polski mocarstwowej. *Będziemy wtedy tylko potężnem państwem, gdy wiadomem się stanie na całym świecie, że w Polsce można swobodnie pracować i dobrze zarabiać.*

Otóż w tej wielkiej, a już bardzo piekącej sprawie i walce o wzbudzenie w narodzie polskim ducha ofenzywy, a w konsekwencji i logicznego, wyzwolonego z pod gangrenujących wpływów ustroju, winien obok patrjotycznie uświadomionego i zdecydowanego żołnierza stanąć niemniej odważny i zdecydowany przedsiębiorca gospodarczy, naukowiec, działacz społeczno-polityczny i dyplomata. Polska musi zrzucić z siebie fałszywą ambicję tchórzliwego „dziecka wzorowego" wśród narodów, które wszyscy chwalą, ale z którem nikt się na serjo nie liczy, a stać się dzieckiem mniej grzecznem, wymagającem, o usposobieniu mądrze bojowem, które kłopot winno sprawiać zakłamanej Europie, ale przez to właśnie zmuszać ją do liczenia się z nami.

Stwierdzić trzeba, że Minister Beck — któremu tu nie mamy potrzeby specjalnie pochlebiać — podjął po raz pierwszy po czterystu latach biernej, tchórzliwej, wyłącznie tylko defenzywnej polskiej polityki zagranicznej nareszcie politykę czynną, poniekąd ofenzywną. Pod jego kierunkiem Rzeczpospolita nasza, zamiast ciągle coś sąsiadom odstępować, zaczęła nareszcie coś zabierać. Prawda, że na razie bardzo skromnie i niewiele, ale bo też Minister Spraw Zagranicznych nie ma za sobą zdecydowanej opinji narodu. Jesteśmy wciąż jeszcze społeczeństwem naiwnych, uczenie filozofujących pacyfistów. Niemniej jednak początek jest już dany. Oby tylko dalej, więcej i bez miękkich słowiańskich skrupułów!

Dlatego formułujemy niniejszym następującą, czwartą z kolei tezę:

4) Rząd polski musi mieć za sobą zdecydowane, ofenzywne parcie całego społeczeństwa w duchu ekspansji. Niewiele może zrobić Rząd, zdany wyłącznie na siebie i unoszący się w powietrzu ponad bierną masą bojaźliwych ludzi, kręcących się wyłącznie w wąskiem kółku doraźnych interesów materjalistycznych.

Nietyle od genjuszu ministra, ile przedewszystkiem od śmiałego, ekspansywnego rozpędu społeczeństwa zależy osiąganie doniosłych sukcesów państwowych.

Reasumując wszystko powyższe, ośmielamy się twierdzić bez-dyskusyjnie, że obok niezbędnej przemiany ducha polskiego w kierunku wszechstronnie ofenzywnym — bez czego wszelkie patrjotyczne wezwania i postulaty pozostaną pustym frazesem, a naród nasz wiecznym wasalem obcych agentur — uświadomić sobie dokładnie musimy dwa najistotniejsze i największe nasze walory narodowe. Próżne bowiem są nasze obecne, ultra-modernistyczne wysiłki stania się narodem gospodarczym, czyli poprostu społeczeństwem gieszefciarzy. Do pewnego stopnia jest to koniecznem w państwie nowoczesnem i to tembardziej w Polsce, która dzięki fatalnej polityce dawnej szlachty nie dopuściła u siebie do należytego rozwoju miast, a przez to i do normalnego rozwoju rodzimego przemysłu, handlu i kapitału, w czem, w naturalnej konsekwencji, zastąpili nas kolejno Ormianie, Niemcy i Żydzi. Wskutek tego dzisiejsza Polska jest gospodarczo zacofana, nie ma śmiałości ekspansywnej i dlatego też rzetelny wysiłek w tym kierunku ma pole i szanse powodzenia, oczywiście pod warunkiem, że zachłanny etatyzm państwowy i samorządowy nie zagarnie w swe ręce tego wielkiego zadania, ale uczyni to uwolniony z pod fiskalnego ucisku prywatny polski przedsiębiorca. To jednak zgóry uprzytomnić sobie musimy, że narodem par excellence kupieckim Polacy nigdy nie będą. Rycerska polska psychika w umiarkowanym tylko stopniu do tego się nadaje. Natomiast wspomniane dwa główne, najcenniejsze walory narodu polskiego i zarazem najgłębsze podstawy polskiej racji stanu są: temperament żołnierski i wiara rzymsko-katolicka.

Ci wszyscy, którzy sądzą, że ateistycznym i materjalistycznym patrjotyzmem, defenzywnemi hasłami, poziomem gieszefciarstwem i kalejdoskopowemi rozgrywkami partyjno-wyborczemi uda im się Polskę mocarstwową zbudować, niech wybiją to sobie z głowy. Temi metodami zbudują w najlepszym wypadku nienaturalną, chwilową karykaturę Polski i nic więcej.

My — z pod znaku Związku Polskiej Myśli Państwowej — stawiamy bez wahania tezę, że dość nam upokarzającego symbolu cierpiącej Polski — dziewicy, męczennicy z cierniową koroną. My żądamy, aby dziewica ta zrzuciła cierń ze skroni, przybrała się w hełm i pancerz, chwyciła miecz w dłoń i stanęła przed nami jako zbrojna Walkyrja. Takiego symbolu potrzebuje dziś Polska niepodległa, na wszystkie strony eksponowana. *Ideał odrodzonej Ojczyzny chcemy widzieć nie w postaci*

cierpiącej, zapłakanej dziewczyny, ale w symbolu pancernej Walkyrji, pędzącej naprzód, ciągle naprzód, długofalowym galopem na potężnym rumaku i tratującej jego kopytami małoduszne, podstępnie nam narzucone, tchórzliwe teorje obcych agentur. Niech w jednym ręku dzierży miecz, zawsze gotowy do zdecydowanego cięcia, a drugą rękę, w pancernej rękawicy, może wyciągnąć do każdego, który zechce z nią wejść w przymierze — ale tylko na zasadach głębokiego dla niej respektu i szacunku.

Jan Bobrzyński.

Prawo własności prywatnej i swobody indywidualnej, jako specyficzna podstawa ustroju Polski *

Wśród piętnastu tematów szczegółowych, dotyczących mniej- więcej całokształtu wewnętrznych i zewnętrznych problemów Polski wskrzeszonej, które podał Związek Polskiej Myśli Pań- stwowej do wyboru Towarzystwu Wiedzy Wojskowej, niema z pewnością ważniejszego od kapitalnego — w powojennych zwłaszcza stosunkach — tematu własności prywatnej i swobo- dy indywidualnej. Temat ten bowiem ogniskuje w sobie wszyst- kie inne zagadnienia państwowe i narodowe, cywilne i wojsko- we, duchowne i świeckie, ideowe i gospodarcze, a w ostatecz- nych swych konsekwencjach kulminuje w walnem a bezkompro- misowem pytaniu: czy Polska ma być sobą, czy też przyczep- kiem bolszewickim?

Inne bowiem realne wyjście z tej alternatywy nie egzystuje. Wszystko, co jest pośrednie, miękkie, kompromisowe — to tyl- ko nieudolne, praktycznie beznadziejne eksperymenty, odsuwa- jące trwożliwie a napróżno w dal ostateczną a nieuchronną de- cyzję Polaka: czy ma ostatecznie być wolnym obywatelem w cy- wilizowanem, chrześcijańskiem państwie, opartem w swych pod- stawach ustrojowych i pojęciach na łacińskiej kulturze, czy też bezwolnym, mechanicznym robotem w wiecznej niewoli ko- lektywu.

Wszystko pośrednie — powtarzamy z naciskiem — jest złu- dą i zwłoką bez znaczenia.

Już przewidujący genjusz Chateaubrianda — tworzącego swe głębokie dzieła właśnie w okresie młodzieńczego wybuchu za- chodniego socjalizmu przeszło sto lat temu — stworzył nieśmier- telną tezę, wykutą wówczas nietyle z jakichś oderwanych re- fleksji filozoficznych, ile przedewszystkiem z codziennego, prak- tycznego doświadczenia i pilnej obserwacji stosunków: „Nie

---

*) Odczyt wygłoszony w Kołach Tow. Wiedzy Wojskowej w Sando- mierzu, Słonimie, Lubawie, Staszowie i Włodawie.

łudźcie się, bez własności prywatnej nikt nie jest wolnym człowiekiem. *Własność jest niczem innem, jak wolnością*".

Tak — własność to wolność i na odwrót. A każdy przyzna — jeden otwarcie, inny w głębi duszy — że bez własności ojczyzna i życie tracą wszelką wartość i rację bytu.

Sprawa bezsporna. Państwo społecznych niewolników nie może być dla nich ojczyzną, lecz tylko obszarem terorystycznego przymusu. Wolny kraj niewolnych obywateli nie jest wolnym i nie może w oczach i w duszy skrępowanej jednostki przedstawiać jakiejkolwiek wartości i ideału. Ot, wstrętny, żandarmski przymus, bez względu na to, od kogo pochodzi i jakim przymus ten przemawia językiem.

Musimy więc raz nareszcie wybrać otwarcie, po męsku, uczciwie i z całą konsekwencją tego wyboru między wolną, chrześcijańską Polską, a niewolą międzynarodowej doktryny socjalilistycznej.

Oto najważniejszy, najintegralniejszy ze wszystkich ideowych i zarazem praktycznych problemów, które w dobie obecnej stoją przed nami. Nieprawdą jest i tchórzliwem tuszowaniem rzeczywistości, jakoby ważniejszym był jakikolwiek inny problem wewnętrzny lub zagraniczny!

Sedno rzeczy tkwi jednak nietylko w ogólnym, frazeologicznym wyborze, ale i w żelaznej, nieugiętej konsekwencji na wszystkich polach, która z dokonanego wyboru wyniknie. Słusznie bowiem przestrzega Chateaubriand — a my dzisiaj, we współczesnych stosunkach integralnie potwierdzamy tę przestrogę — że nie należy w tym wyborze łudzić ani siebie, ani drugich. Nie wolno współczesnym Polakom, po stu latach własnych i cudzych doświadczeń od epoki pisarskiej Chauteaubrianda, rzucać sobie wzajemnie wciąż piaskiem w oczy i to piaskiem podwójnym: czerwonym i białym. Polacy winni być dziś już za mądrzy na taką niecną i niezmiernie szkodliwą tragikomedję.

Bo istotnie, co to znaczy, że konstytucja polska wyraźnie poręcza obywatelom prawo własności, a niemal wszystkie inne ustawy szczegółowe, jak gdyby drwiąc sobie z tego konstytucyjnego poręczenia, kruszą cynicznie prawo własności prywatnej i niemniej naturalne prawo do uczciwego zarobku wszędzie, na każdym kroku, wszelkimi sposobami? I jakich ustawodawstwo nasze używa w tym celu perfidnie pienackich argumentów: nowe czasy i warunki, rosnąca gęstość zaludnienia, dogmat powszechnej demokratyzacji, postulaty proletarjatu, spra-

wiedliwość społeczna, obowiązek państwa do przymusowego uszczęśliwiania obywateli i niewiadomo co jeszcze! A wszystko to jest w gruncie rzeczy i w najpraktyczniejszej praktyce jed= nym kolosalnym systemem wzajemnego łudzenia się między państwem a różnemi warstwami obywateli i na odwrót. Bo tym systemem, jak praktyczne doświadczenie od dziesiątek lat już jasno wykazuje, ani państwo nie staje się potężniejszem w swych podstawach, ani żadna warstwa obywateli szczęśliwszą.

Tej wielkiej prawdzie nikt nie jest wstanie szczerze i uczci= wie zaprzeczyć. Widzimy zresztą wyraźny już, albo przynaj= mniej grożący rozkład systemów państwowych, gdzie pogwał= cono własność prywatną i wolność indywidualną. Pogwałcono je tam również stekiem przemądrzałych a subtelnie perfidnych frazesów, które porwały za sobą nietylko gawiedź uliczną, ale częstokroć nawet i słabsze charakterem naukowe powagi. Nie aspirując do daru proroczego, przepowiedzieć ośmielamy się bez wahania, że nietylko najbliższe pokolenia, ale my sami do= żyjemy w niedalekiej przyszłości bankructwa wszelkich syste= mów niewoli społecznej, bankructwa systemu takiej czy innej konfiskaty własności i swobody indywidualnej.

Tak, nastąpić to musi niechybnie, bo ostatecznie człowiek jest człowiekiem i dąży w gruncie rzeczy nie do jakiejś sztucznej fikcji ustrojowej, którąby go stale trzymać miała pod społecz= nym batem i przymusem i wszystko mu zabierać, ale do możli= wie najlepszych warunków własnej, prywatnej egzystencji. Na tem opiera się też w najgłębszych podstawach pojęcie ojczyzny i jej dobra. Złudzeniem jest, jakoby fikcja wiecznie na jednost= kę żarłocznego państwa dała się w nieskończoność przemocą władzy utrzymać. Żaden system rządów, nawet najbardziej auto= rytatywny, żadna, najpotężniejsza nawet partja, czy monopartja polityczna nie będą wstanie ostać się przez czas dłuższy na ja= kichkolwiek zasadach społecznego przymusu i zlekceważenia przyrodzonej dążności ludzkiej do indywidualnej własności, korzyści i swobody.

Twierdzenie to sprawdzi się niewątpliwie wszędzie, a słusz= nem jest w pierwszym rzędzie dla mentalności polskiej. Spraw= dzi się wszędzie, bo sama logika wskazuje, że niedoli ludzkiej i różnych niedomagań i nierówności społeczno=gospodarczych niepodobna uzdrowić niewolą i przymusem, które muszą w nie= uchronnej konsekwencji tylko jeszcze pogłębiać powszechną biedę i beznadziejnie proletaryzować i zbydlęcać obywatela. A na to żadne szumne frazesy, żadne sztuczne, patrjotyczne

zastrzyki, obchody, śpiewki i chorągiewki nie pomogą. W najostateczniejszym rezultacie realny tryumf musi odnieść w tych warunkach tylko perfidna doktryna Marksa.

A już całkiem szczególnie odnosi się to wszystko do Polski. Prawodawcy i ekonomiści nowocześni popełniają wciąż kardynalną omyłkę sądząc, że specyficzna polska psychika dąży za wszelką cenę do jak największego materjalnego dobrobytu. To nieprawda. Polak, jak od wieków, tak i dziś ceni ponad wszystko wolność. A pod tym wyrazem rozumie on nietylko wolność ojczyzny, ale i własną, osobistą. Żadne uczone, a raczej pseudouczone frazesy o rzekomej, nowoczesnej potrzebie progresywnego niewolnictwa jednostki wobec państwa nie znajdują w duszy polskiej — i bardzo słusznie — zrozumienia. Żadna warstwa narodu polskiego nie pójdzie z przekonania na jakiekolwiek eksperymenty przymusowego ustroju i kruszenia własności prywatnej. Z takimi pomysłami występować mogą u nas tylko nieliczne grupki bardzo sytych i ambitnych ludzi, którzy albo dążą za wszelką cenę do wpływów i władzy kosztem zamiany współobywateli na posłusznych i coraz bardziej proletaryzowanych niewolników, albo też trzęsą się ze strachu przed fantomem tak zwanego „gniewu ludu" lub „zemsty świata pracy". I dlatego zgóry, bez faktycznej potrzeby uginają się przed wszelkiemi absurdalnemi teorjami kruszenia własności prywatnej, uspołecznienia warsztatów pracy, socjalizacji dóbr materjalnych i społecznego wywrotu, co wszystko razem nosi u nas płochliwą, a eufemistyczną nazwę „gruntownej reformy społeczno-gospodarczej".

Tylko, że gdyby te wszystkie ambitne, trwożliwe lub wywrotowe dążenia miały się spełnić, gdyby jednostka straciła na rzecz kolektywu wszystko, co przedstawia wartość życia, to.... nie byłoby już Polski. Niechże wbiją to sobie dobrze w mózgi wszyscy zawodowi reformiści i uszczęśliwiacze. Bo naród polski, we własną niewolę społeczną zakuty, byłby bez porównania jeszcze słabszym, niż pod obcym zaborem. Znowu bowiem bezsporną jest prawdą, że z najezdniczym wrogiem Polak umiałby walczyć i walka ta wzmogłaby nawet jego tężyznę i odporność, podczas gdy druzgocący społecznie nacisk własnej ojczyzny musiałby go osłabić społecznie, gospodarczo i politycznie aż do granic niemocy. Polska zsocjalizowana w jakibądź sposób stałaby się niechybnie łupem pierwszego lepszego wroga.

A nadto logika i doświadczenie wykazują na całej kuli ziemskiej i od dawnych czasów, że między materjalnem a moralnem

(duchowem) prawem własności zachodzi nierozerwalny związek. Kto jedno chce ograniczyć lub zmiażdżyć, musi zmiażdżyć i drugie. Własność duchowa, realizacja osobistego talentu i twórczości, ustrój rodzinny, wiara w Boga i wypływające z niej głębsze zasady etyczne — a z nich i patrjotyczne — wszystko to stoi w nierozerwalnym ze sobą związku. Naiwny ten, kto tego nie rozumie i biada narodowi, który dopuści do naruszenia jednego z ogniw tego łańcucha. Żadne wówczas najszczytniejsze hasła materjalistycznego patrjotyzmu, ani najczulsze frazesy przyziemnego humanitaryzmu nic nie pomogą! Naród taki poleci w przepaść nieuchronnie.

I pod tym względem znowu łudzą się srodze różni prawodawcy, politycy, ekonomiści i społeczni uszczęśliwiacze. W jednostronności swej i niedoświadczeniu sądzą, że rozpędzony w przepaść radykalizmu rydwan państwowy potrafią w dowolnym punkcie zatrzymać. „Tak a tak daleko pójdziemy z postępem ograniczania własności prywatnej — powiadają sobie ci naiwni — a nie dalej, bo dalej, to przecież już bolszewizm". Jakże kapitalnie się mylą! Bo ów raz rozpędzony rydwan, kruszący prawo własności prywatnej, nie da się już żadną miarą zatrzymać w punkcie wymarzonym, ale runie w przepaść, pociągając za sobą wszystkich i wszystko, nawet swych kierowców i nawet najbardziej materjalistycznie i kolektywnie ujętą fikcję ojczyzny. Historja wielkich rewolucji, a zwłaszcza nowoczesnych, potwierdza wymownie ten nieubłagany rozpęd lewicowości, gdy się raz gdzieś począł, aż do bezdna niszczącej wszystko komuny.

Sądzimy stanowczo, że w dzisiejszych warunkach wszechświatowych doświadczeń z eksperymentowaniem własnością prywatną i jego opłakanymi wszędzie skutkami niema w Polsce już potrzeby szeroko nad tem dyskutować. Już i ślepy musi dziś u nas widzieć, dokąd naruszenie prawa własności w praktyce prowadzi. Chodzi więc o to, jaką zastosować metodę, aby wstrzymać to najgroźniejsze dla Polski niebezpieczeństwo: doprowadzenia Polaka do stanu wyzutego stopniowo z wszelkiej własności materjalnej i duchowej zwierzęcia roboczego?

Wróćmy do wyżej podanego symbolu wozu rozpędzonego w przepaść doktryny Marksa. Jakiż jest jedynie skuteczny sposób zatrzymania wehikułu nad skrajem przepaści? Różni ciężko uczeni ludzie, prawnicy, ekonomiści, społecznicy, politycy, nawet mężowie stanu oddają się złudzeniu, że wóz taki należy

delikatnie hamować w rozpędzie kompromisowem głaskaniem lub rzucaniem mu wiotkich gałązek jedliny pod koła. Naiwne złudzenie, któremu jednak niestety wszystko, co w Polsce żyje i działa, dotąd ulega! Rozpędzony bowiem potężny rydwan bezmyślnie radykalnego, bolszewizującego postępu odrzuca i miażdży wszelkie takie słabe, zbyt subtelne hamulce.

Tu trzeba z gestem zdecydowanym, integralnie bezkompromisowym, wbić między szprychy kół jakąś żelazną kłonicę, któraby była wstanie z miejsca pęd wozu zahamować. Obraz ten dyktuje dosłownie jedynie skuteczną metodę walki z doktryną Marksa, która wprost lub pośrednio dąży różnemi drogami do faktycznego zbydlęcenia człowieka i poddania go wiecznej, beznadziejnej niewoli. Trzeba przeciwstawić się najmniejszym nawet próbom podważenia prawa własności twardą metodą bezwzględnej ich negacji, odrzucając bez dyskusji wszelkie, nawet pozornie najtrafniejsze, najuczeńsze i najbardziej humanitarnie i patrjotycznie brzmiące argumenty.

Innego sposobu niema. Najmniejszy kompromis wyjdzie po latach w ostatecznym rezultacie na tryumf marksowskiej doktryny. Można nawet i więcej stwierdzić: każdy kompromis, zwłaszcza poparty autorytetem z jakiejkolwiek poważnej strony, ułatwia zwycięstwo tej rozsadzającej cywilizację i zakuwającej ludzkość w beznadziejną niewolę doktryny.

Bo istotnie — dopóki eksperymentują z prawem własności żywioły wywrotu i demagodzy, to jeszcze pół biedy. Groźną natomiast staje się sytuacja dopiero, gdy zaczynają wdawać się w płochliwe kompromisy z czerwonym postępem poważne żywioły w państwie. Aby więc w obecnym chaosie doktryn, perfidnych wpływów wrogich cywilizacji agentur i skomplikowanych rozgrywek politycznych wszelkiego rodzaju znaleźć właściwe wyjście i murowany gościniec, należy przedewszystkiem oprzeć się na prawdziwie nadrzędnym autorytecie Dekalogu: Nie kradnij — nie pożądaj ani wołu, ani osła, ani sługi, ani służebnicy, ani żadnej rzeczy, która jego (bliźniego) jest! Ten nakaz nadprzyrodzony, zgodny oczywiście także z prostemi prawami ludzkiej natury, etyki i prawdziwego postępu, może i musi być dla nas jedynie słusznym drogowskazem. Wszystko inne jest karygodną słabością lub zakłamaną perfidją, przybraną tylko w tęczowe blaski pozornego postępu, a w rzeczywistości cofaniem ludzkości wstecz do stanu daleko gorszego od „swobody jaskiniowej".

A z tego nadprzyrodzonego i zarazem zgodnego z prawami przyrody i natury ludzkiej nakazu wykuć można dla Polski następującą, żadnemi konjunkturami niewzruszalną tezę ustrojową:

Prawo własności prywatnej może być naruszone jedynie tylko w poszczególnych wypadkach, każdorazowymi aktami prawnymi w zakresie dzieł o charakterze technicznej użyteczności publicznej, wszelkie natomiast ogólne ustawodawstwo, podważające własność prywatną, prawo do uczciwego zarobku i swobodę indywidualną musi być w cywilizowanem państwie chrześcijańskiem bezwzględnie wykluczone.

Można więc wywłaszczać każdorazowo grunta za sprawiedliwem wynagrodzeniem na cele budowy dróg, kolei żelaznych i t. p. Nie wolno natomiast uchwalać ustaw lub wydawać rozporządzeń o charakterze generalnego wywłaszczania lub narzucać ogółowi państwową przemocą przymusowe dobrodziejstwa. W dalszej zaś konsekwencji nie wolno konstruować takiego systemu fiskalnego — państwowego i samorządowego — któryby w ostatecznym rezultacie kruszył własność prywatną, uczciwy zarobek, a przez to i przedsiębiorczą tężyznę prywatnych sfer społeczeństwa.

Rzecz przy tym oczywista, że pod pojęcie nienaruszalności swobody indywidualnej nie należy podciągać pewnych, niezbędnych świadczeń osobistych obywateli względem państwa, ani niezbędnej również w cywilizowanym państwie karności, ładu i porządku. Wręcz przeciwnie — największa ofiarność dla państwa i największa dyscyplina obywatelska dadzą się najlepiej osiągnąć w społeczeństwie wolnem i zadowolonem. Nędzne zaś i bardzo połowiczne tylko skutki wydaje zawsze i wszędzie metoda bicza, nadmiernego przymusu i miażdżenia jednostki przez zbiorowość.

A już gdzie, jak gdzie, ale w Polsce wszelkie doktryny nadmiernego przymusu i kruszenia własności prywatnej opłakane muszą wydać rezultaty. Prawda, że społeczeństwu polskiemu daleko większej, niż dotąd potrzeba dyscypliny, karności i zmysłu organizacyjnego. Anarchja mentalności polskiej może dyscyplinowanego działacza i męża stanu doprowadzić nieraz do rozpaczy. To już inny zresztą temat i innych na tę wielką bolączkę trzeba sposobów. Ale przenigdy stosowania doktryn niewoli społecznej czy etatystycznej!

Miał stokroć rację Marszałek Piłsudski, że nie chciał w Polsce wprowadzić żadnej z modnych dziś na świecie doktryn totali-

stycznych. Wiedział dobrze, że taki system wydałby najfatalniejsze w Polsce rezultaty i ostatecznie wprowadziłby nasz naród najpierw pod jarzmo obcych agentur, a w konsekwencji stopniowo i pod cudzą moc polityczną. Miał stokroć rację, gdy po zamachu majowym odprawił ówczesnego ministra reform rolnych — zapytującego, czy ma dalej prowadzić dzieło wywłaszczenia — zdecydowanym gestem integralnej negacji: „Z takiemi głupstwami niech pan więcej do mnie nie przychodzi"!

Miał rację — bo złamać w Polsce prawo własności prywatnej wychodzi w rezultacie na zniszczenie Polski i polskości. Niech tam sobie Moskale, Niemcy, Włosi, Francuzi wymyślają demagogiczne, bolszewizujące i upadlające człowieka normy niewolniczego i proletaryzującego postępu — my, Polacy, miłujący nadewszystko ideę wolności i w niej widząc prawdziwy symbol ojczyzny, takich eksperymentów nie chcemy i nie potrzebujemy!

A sprawa ta staje się z roku na rok tembardziej piekącą i groźną, że każdy, objektywnie sądzący i pilnie rozwój stosunków naszych obserwujący człowiek, musi odnieść wrażenie, *jakgdyby od lat dwudziestu jakaś tajna moc czyniła wszystko i mobilizowała wszystko, aby tylko nie dopuścić do społeczno-gospodarczego podniesienia się Polski.* Niepodobna oprzeć się bijącym w oczy faktom, że mimo wszelkich szczytnych haseł, wzajemnych wezwań i znacznych wysiłków, jakaś potęga tamuje nam wciąż swobodny rozmach do mocarstwowości, a spycha nas raz po raz do proletarjackiego pod względem materjalnym i moralnym poziomu. Dość wspomnieć, że wielkie i słuszne hasło „wyścigu pracy" stało się w obecnych warunkach gorzką ironją.

Bo czyż podobna współzawodniczyć szlachetnie, twórczo, a korzystnie w wyścigu pracy przy ustroju i nastroju w państwie, które wręcz niszczą prawo własności, indywidualne owoce pracy i wszelką inicjatywę społeczeństwa, oddając ją coraz bardziej w ręce rządu, usiłującego zastąpić twórczość narodu gospodarczą działalnością urzędniczą z pieniędzy podatkowych!

Żadnej nie ulega wątpliwości, że brnąc dalej w tym kierunku, robimy mimowoli właśnie to, na czem widocznie zależy jakimś wrogim mocom: osłabiamy żywą siłę Polaka i zbliżamy się do kolektywu. I tego groźnego faktu żadne kontrargumentacje, ani zaprzeczenia nie przesłonią.

Weźmy wymowny przykład, jeden z tysiąca: podatek obrotowy.

Ileż to szumnych frazesów słyszymy z różnych trybun oficjalnych, parlamentarnych i zawodowo-gospodarczych o konieczności podniesienia handlu polskiego i jego nawet aż zamorskiej ekspansji! A jakież to jest kardynalne, w teorji niby bezsporne prawidło zdrowego handlu? Oto oczywiście zasada *umiarkowanych zysków poszczególnych, przy możliwie jak największym obrocie*. Wszak w tem właśnie leży największy, zgodny interes kupca i klijenta. Majątku nie powinno się robić na sprzedaży jednej chustki od nosa, ale na możności sprzedania miljona chustek z drobnym na każdej zyskiem.

Realizację tej zdrowej zasady wyklucza u nas jednak absurd podatku obrotowego, wykoncypowany i narzucony Polsce perfidnie przez jakiś *wpływ wrogi, wymierzony właśnie przeciw tej podstawowej zasadzie zdrowego handlu.* A Polska cała, jak długa i szeroka, cierpi ten absurd, wspierany subtelną argumentacją bezmyślnych demagogów fiskalnych różnego tutoramentu, głosząc przy tem aż do znudzenia beznadziejne w takich warunkach odezwy „popierania handlu rodzimego". Wprawdzie po cichu srodze skarżą się na to ludzie i raz po raz handel polski kładzie się pokotem, ale absurdalna koncepcja podatku obrotowego znajduje zawsze szereg możnych dygnitarzy, ba, nawet profesorów wyższych uczelni, którzy wbijają w polskie mózgi rzekomą konieczność tego niszczącego podatku. Chociaż jasnem jest, że ten właśnie system drakońskiej daniny od mechanicznego obrotu, bez względu na kwestję strat lub zysków, wysysa z handlu i kraju soki żywotne!

Inny przykład, tym razem bardziej lokalny, lecz niemniej wymowny, gdyż pomnożony przez tysiąc i miljon, daje również obraz społeczno-gospodarczego absurdu i nędzy pod miażdżącym jarzmem tępej doktryny społecznego gwałtu i przymusu.

Oto w pewnym, rozległym powiecie na stokach Karpat wschodnich znajdują się cudne lasy, w których kwitnął przed wojną powszechny dobrobyt ludności, zatrudnionej korzystnie w różnych działach eksploatacji leśnej. Dziesięć mniejwięcej lat po wskrzeszeniu Polski i narzuceniu jej przez jakieś demagogiczne moce mechanicznego ustroju przymusowych dobrodziejstw społecznych, kwitnący ten zakątek kraju przybrał postać cmentarza. Niesamowita cisza, upadek przemysłu leśnego, nędza wyludnienia.... Ale za to na rynku miasteczka powiatowego stanął wspa-

niały gmach przymusowej Ubezpieczalni i Kasy chorych — notabene prawie pusty, bo nieproporcjonalny do istotnych potrzeb przerzedzonej etatyzmem i fiskalizmem ludności. Niech zginie wszystko, byle tylko zatryumfowała marksowska idea niewoli społecznej!

Zaiste, zwiedzający ten stan rzeczy nie mogli oprzeć się mimowolnemu wrażeniu, że ów socjalistyczny gmach przymusowej Ubezpieczalni wyssał, jak polip, soki żywotne z całego powiatu.

Na koniec przykład trzeci, tym razem znowu powszechny, przejmujący jeszcze daleko więcej grozą, bo już wprost i wyraźnie, dotyczący czynu karygodnego, wymierzonego w najżywotniejsze interesy państwa i ludności.

Pamiętamy dobrze wiosnę jednego z ostatnich lat poprzedniego dziesięciolecia. Po długim szeregu lat różnych klęsk nieurodzaju, dewaluacji, stabilizacji, nieopłacalności gospodarstw, powodzi, suszy i gniotącego ciężaru długów, nadszedł nareszcie błogosławiony rok dobrych urodzajów, przy wysokich na produkty rolne cenach. Wszystko, co na wsi polskiej żyło, od ziemianina do chłopa i parobka, zadrgało nareszcie radosną nadzieją obfitego zysku, który rolnictwo polskie uwolnić może z długów i na nogi postawić. Przyszły żniwa. Okazało się, że po najobfitszem zaspokojeniu wewnętrznych potrzeb, dwieście tysięcy wagonów zboża pozostaje na eksport. A więc konjunktura niebywała zarówno dla rolnika, jak i dla bilansu państwa.

I w tym momencie tępa, bezmyślna, zażarta demagogja pewnych czynników spowodowała zamknięcie granicy dla eksportu li tylko w imię teorji „taniego chleba". Rezultat był tylko ten, że chleb potaniał w handlu detalicznym dosłownie o parę groszy, czego „lud pracujący" oczywiście nawet nie poczuł, ale zato cena hurtowa zboża spadła — wskutek nadmiaru w kraju — w krótkim czasie czterokrotnie. Znikły, jak senne marzenie, nadzieje na opłacalność rolnictwa, ludność wiejska popadła w ciężki kryzys, z którego po dziś dzień dźwignąć się nie może. A ponieważ w naszych stosunkach przemysł, handel i miasta zależą w trzech czwartych od dobrobytu wsi, więc i tu zapanował ciężki kryzys i zwiększyło się bezrobocie, na co znowu żadne sztuczne paljatywy, fundusze i eksperymenty nie pomogą.

Oto w pobieżnym, ale chyba dość wymownym zarysie niektóre środki i sposoby, jakimi gnębi się w Polsce własność pry-

watną, uczciwy zarobek i zdolność ekonomiczną, a w związku z tem i tężyznę obywatelską narodu. I, mimo wszelkich odezw, frazesów i zapowiedzi, nie widać dotąd na serjo choćby nawet tylko chęci korzystnej zmiany tych stosunków i tego nastroju. Przeciwnie, Polska — mimo wszelkich, hucznie ogłaszanych startów do naprawy i poprawy — chełpi się raz po raz wciąż jeszcze, przy lada okazji, przed zagranicą, że jest „najbardziej potępowym krajem na świecie". Niewiadomo tylko, czy taką politykę, taki ustrój i ich rezultaty można istotnie uważać za wyraz prawdziwego postępu?!

Co natomiast jest absolutnie pewnem, to fakt, że

Polska demagogiczna, goniąca za taniemi a szkodliwemi doktrynami i nie będąca wstanie zrzucić z siebie jarzma społeczno-ekonomicznych niedorzeczności, niezdecydowana w walnej sprawie mocnego ugruntowania prawa własności prywatnej ze wszystkimi jego konsekwencjami, nie będzie nigdy wstanie ani wewnętrznie skonsolidować się i wzmocnić, ani wypromieniować z siebie niezbędną siłę dośrodkową dla swych mniejszości narodowych, a dalej i dla różnych mniejszych państw ościennych, które winna stopniowo skupiać koło siebie.

Nie przesadzając bowiem znaczenia w nowoczesnych warunkach dawnej idei jagiellońskiej, musimy jednak zdać sobie jasno sprawę z tego, że państwo nasze stanie się wówczas tylko ośrodkiem ciężkości dla pewnego bloku otaczających nas ludów *pod przewodnictwem polskiego narodu*, gdy ludy te stwierdzą, że w Polsce każdemu dobrze się dzieje, że każdy może w niej dobrze żyć i dobrze zarabiać.

Od tego zaś — a więc od poszanowania prawa własności prywatnej — zależeć będzie również możność spełnienia przez państwo nasze i naród pewnych doniosłych zadań, jakie okazja dziejowa w nietrwałej obecnie Europie środkowej i wschodniej niechybnie w bliskim już czasie nam nadarzy. Bo w nieuchronnej konsekwencji poszanowania własności materjalnej i duchowej — co jedno z drugiem najściślej jest związane — wyniknie nietylko rozmach naszej polityki, gospodarki i kultury, lecz także w bardzo znacznem stopniu i *siła, z jaką żołnierz nasz dzierżyć będzie broń w ręku*. Bo i ten żołnierz, idąc naprzód z ogólną ideą obrony i wzmocnienia ojczyzny, musi koniecznie mieć tem samem mocne poczucie, że broni i swej osobistej własności prywatnej, tej ziemi lub warsztatu, które mu obywatelskie i materjalne dają oparcie.

Aby taką jednak moc poczucia i bezpieczeństwa prawa własności stworzyć, trzeba, bez względu na jakiekolwiek argumenty przeciwne, lub kompromisowe, obalić w naszym ustroju i ogólnym nastroju wszystko to, co w jakikolwiek sposób, bezpośrednio lub pośrednio, kruszy prawo własności i prawo do uczciwego zarobku, a zbliża nas demagogicznie do jakkolwiekbądź pomyślanego kolektywu.

Rzeczywistość dwudziestu lat ostatnich wykazuje niezbicie — i bardzo dotkliwie na całym naszym organiźmie państwowym i społecznym — że zniszczyć trzeba przedewszystkiem różne, narzucone nam z zagranicznych wzorów fetysze pseudo-demokratycznego ustroju, które dotąd nietylko szerokie masy, ale i różne sfery wyższej inteligencji oraz partje polityczne uważają za niby niewzruszalne zdobycze. Wyzwolić się trzeba zdecydowanym odruchem z ich narkozy, która sprawia, że chcąc złemu w państwie zaradzić, chcąc podnieść naprawdę stan gospodarczy, a przez to i moralny narodu, chcąc realizować tak czy inaczej ideę Polski mocarstwowej, kręcimy się wciąż w kółko w zamkniętych demagogicznemi murami podwórkach, nie mogąc znaleźć wyjścia i ruszyć naprzód.

Czas już ostatni, żeby rozwalić te mury i na miejsce krępujących nas ślepych doktryn fałszywego, bolszewizującego postępu wprowadzić objektywny, logiczny, prosty a śmiały sposób myślenia i działania. Trzeba zdobyć się na niezbędną odwagę cywilną i powiedzieć sobie jasno i wyraźnie, że sprytnie po świecie uświęcone reguły i t. zw. „zdobycze postępu“ nas, uświadomionych Polaków, nie obowiązują, bo wszystkie one wyszły nie z rzeczywistych potrzeb ogółu, ale z socjalistycznej doktryny. Osłabianie i podważanie prawa własności, przymusowe uszczęśliwianie społeczeństwa gwałtem i przemocą, traktowanie obywateli jak małoletnich systemem i ciężarem fiskalistycznie pojętej opieki społecznej, pochlebianie najgorszym instynktom szerokich mas drogą wywłaszczającego ustawodawstwa, małoduszne godzenie się z perfidnie narzuconą zasadą, że nowoczesne państwo rzekomo musi być z jakichś tam populacyjnych czy innych względów domem niewoli, gdzie obywatele rzekomo muszą być wychowywani w coraz cięższych więzach etatyzmu, że szczytem obywatelskiego ideału ma być obdarty proletarjusz, dla którego konstytucja i cały ustrój państwa mają być w pierwszym rzędzie fabrykowane, że wreszcie za wroga państwa, postępu i tak zwanych „mas pracujących“, świadomie lub podświadomie, uważany ma być każdy, któremu powiedzie się

uczciwie coś zarobić i wznieść się na wyższy poziom bytu — ten cały, na wskroś demagogiczny, z marksowskich pojęć walki klasowej zrodzony stek antypaństwowych i antyspołecznych niedorzeczności *musi być raz na zawsze zdemaskowany, ośmieszony i wypędzony z Polski.* Inaczej nie wybrniemy z kryzysu, ani z bezrobocia, w czem wrogie mafje chcą nas coraz bardziej pogrążać i nie ruszymy naprzód, choćby najwybitniejsi uczeni, prawodawcy i mężowie stanu stawali na głowie!

Nie bądźmy białymi murzynami, którym wmówiono, że jakieś straszne tajemnicze bóstwo mieści się w chacie sprytnego czarodzieja i przed którem to bóstwem, miotającem się wewnątrz tej chaty z rykiem przy chałasie gongu, łatwowierni murzyni z przerażeniem na twarz padają, nawet go nie widząc i dają się czarodziejowi obdzierać ze skóry. Tem chałaśliwem a pustem bóstwem są panujące wciąż jeszcze suwerennie pseudo-demokratyczne zasady, których praktycznym a ostatecznym celem jest utrzymanie Polski w niedorozwoju i niemocy i zduszenie w nas także wszelkich duchowych walorów i talentów.

Chcemy i żądamy wyzwolenia się narodu polskiego z pod jarzma tego czwartego, bodajże najgorszego zaborcy, bo nie podniecającego nas do walki, ale osłabiającego najpierw materjalnie, a w konsekwencji moralnie i politycznie. A kamieniem węgielnym tego wyzwolenia i wszelkiego rozmachu mocarstwowego jest własność prywatna. Dlatego w nią uderzyły perfidne argumenty i ataki wszelkich wrogich prawdziwej polskości mafji i dlatego też tej walnej podstawy, nawet wbrew własnemu państwu, a dla jego głębiej pojętego dobra, bezkompromisowo bronić należy.

Żądamy znacznie wyraźniejszego ufundowania prawa własności prywatnej w konstytucji i całej reszcie ustawodawstwa oraz w praktyce administracyjnej, niż to dotąd zrobiono. A każdego, kto z jakichkolwiek względów temu się sprzeciwi lub miękkość wykaże, uświadomić trzeba, że działa mimowoli przeciw najżywotniejszym podstawom państwa, narodu, a nawet i warstw jego najniższych.

Prawda, że nowoczesne państwo musi w pewnej mierze ingerować w różne prywatne dziedziny życia obywatelskiego. Ale niech nie czyni tego pod żadnym warunkiem łamiąc człowieka materjalnie i moralnie i wywłaszczając zachłannie jego mienie i owoc pracy, ale jedynie tylko jako niezbędny w pewnym zakresie, przezorny a życzliwy regulator.

Konsolidacja dyscypliny oraz inicjatywy narodowej w przeciwieństwie do ideologji zawiści i dekompozycji*)

(Umiejętność konsekwentnego rozwiązywania zadań państwowych na dłuższą metę).

Referat niniejszy jest fragmentem pewnego całokształtu programu państwowego — zarówno ogólnego, jak i szczegółowego — który w postaci piętnastu tematów odczytowych, pozornie oddzielnych, ale faktycznie stanowiących razem organiczną całość, podaliśmy do dyspozycji Towarzystwa Wiedzy Wojskowej na jego bardzo dla naszego Związku Polskiej Myśli Państwowej zaszczytne zaproszenie. Wobec tego całkiem dokładne zrozumienie właściwej roli niniejszego referatu osiągnąć się da dopiero na tle całokształtu naszych odczytów, które przedstawiciele Związku w tym czasie w różnych ośrodkach Towarzystwa Wiedzy Wojskowej wygłaszają. Niemniej jednak, ze względów czysto technicznych, spróbujemy przedstawić szanownym słuchaczom ten ważny fragment myśli obywatelskiej w formie możliwie odrębnej całości.

Temat ten, zazębiający się we wszystkie dziedziny polskiego życia, jest z jednej strony niezmiernie trudny dla skonkretyzowanego ujęcia, z drugiej atoli o tyle zrozumiały i wyraźny, że realne skutki spraw, o które tu chodzi, odczuwamy wszyscy — bez względu na różnice przekonań politycznych — aż nadto dobitnie zarówno na ogólnym biegu spraw państwa, jak i na własnej, prywatnej skórze od dwudziestu lat. Jest to rzecz, tak głęboko tkwiąca w polskiej psychice, że żaden system rządów, przychodzący od chwili wskrzeszenia naszej niepodległości kolejno do władzy, nie był w stanie jej zmienić.

Zastrzegamy się tylko zgóry przeciw ewentualnym objekcjom, że psychika i tężyzna w niejednem innem państwie po wojnie światowej uległy również bardzo znacznemu, a gdzieindziej nawet i znacznie większemu osłabieniu, niż w Polsce, na co złoży-

*) Odczyt wygłoszony w Kołach Tow. Wiedzy Wojskowej w Suwałkach, Augustowie i Postawach.

ły się różne, powszechnie wiadome przyczyny i przewroty. Ale nas, Polaków we wskrzeszonej ojczyźnie, nic te obce przemiany nie powinny obchodzić i pod żadnym warunkiem stanowić dla nas jakiejkolwiek wymówki. Niech nas obchodzi przedewszystkiem to, co się w Polsce dzieje!

Otóż w Polsce dzieje się równocześnie dobrze i źle. Dobrze o tyle, że jednak starania pewnych ludzi czołowych oraz mrówcza praca t. zw. szarego człowieka z ulicy sprawiły to, że w oczach zdumionego, z początku niedowierzającego świata okrzepła i rozbudowała się Polska nie sezonowa, ale trwała i ujawniająca już nawet coraz większe walory i aspiracje mocarstwowe. Ale źle jest dlatego, że pewne, kardynalne wady osobliwej mentalności Polaków utrudniają im lepsze, planowo zorganizowane wykorzystanie sytuacji w powojennej, chwiejnej, nieskonsolidowanej Europie. A należyte wykorzystanie tego położenia, tych różnych nadarzających się okazji, mogłoby było wewnętrzną i zewnętrzną potęgę naszego narodu i państwa na daleko wyższy jeszcze wznieść poziom.

Związek Polskiej Myśli Państwowej jest specjalną szkołą polityczną, która — zdając sobie wprawdzie w całej pełni sprawę z mocy działania obcych, a nawet ogólno-światowych wpływów i kryzysów na Polskę — szuka jednak pierwszych przyczyn wszelakich naszych niedomagań państwowych, społecznych i gospodarczych w błędnem nastawieniu i wadach samego polskiego społeczeństwa. A w takiem podchodzeniu do spraw nietylko niemasz żadnego pesymizmu, ale wręcz przeciwnie: bije z tej metody największy, dumny, suwerenny optymizm. Dlatego optymizm, że nie podajemy się małodusznym wymówkom, jakoby Polacy musieli ulegać jakiejś zagranicznej sile wyższej, wobec której mielibyśmy być bezwolni, ale z nadrzędną pewnością we własną moc potencjalną narodu twierdzimy, że zdolny i utalentowany jest do wielkich rzeczy, gdyby tylko zechciał metodą zdrowego rachunku sumienia zgnieść w sobie pewne własne wady.

Temat to oczywiście bardzo szeroki. W danym wypadku ograniczymy go celowo do pewnych tylko ram.

Oto prawi się od dwudziestu lat na różne tony o tak zwanej konsolidacji narodowej. Prawi się słusznie — ale nieszczęście leży w tem, że wielka ta i niezbędna dla mocarstwowości polskiej myśl jest dotychczas tylko niecałkiem szczerym atutem w rękach polityków-aktualistów i stanowi w tych rękach —

otwarcie mówiąc — właściwie tylko przedmiot międzypartyjnych rozgrywek w zdobywaniu głosów wyborczych i dążeniu do władzy. Pozatem składamy tu świadectwo prawdzie, że nikt na serjo, bezinteresownie, poza chwilową grą polityczną, wcale nie dąży do prawdziwej konsolidacji narodu, gdyż olbrzymia większość wpływowych polityków żyła i żyje i utrzymuje się na widowni właśnie dekompozycją społeczeństwa.

Jest to niezbita prawda i smutna rzeczywistość, której uczciwie zaprzeczyć nie może nikt, kto zna dobrze życie polityczne i głębsze przyczyny wpływów i karjer różnych ludzi. Bo gdyby naród naprawdę skonsolidował się i gdyby na podłożu tej konsolidacji wyrosła w naturalnym następstwie zdrowsza myśl mocarstwowa i większa, samorzutna dyscyplina, to wówczas wielu rozgłośnych dziś polityków zapadłoby się w nicość z braku odpowiedniego żeru, a miejsce ich zajęliby automatycznie całkiem inni ludzie. A tego losu boją się różne partje i ambitne jednostki i dlatego właśnie hasło konsolidacji i dyscypliny narodowej jest dotąd pustym, a często i wprost nieszczerym frazesem. Im prędzej i im szerzej rozpowszechni się w kraju należyte uświadomienie o tej smutnej a wielkiej prawdzie, tem lepiej dla Polski, bo zwrot z tej drogi będzie prędszy i łatwiejszy.

Jako śmieszne, dziwaczne, „zamorskie" lekarstwo na ten stan rzeczy wysuwane bywają raz po raz najrozmaitsze, na nacjonalistycznej demagogji lub zagranicznych przykładach wzorowane pomysły społecznego przymusu, przyczem elementy prawicujące apostołują różne formy totalizmu, a lewicujące skłaniają się, mimo wszelkich patrjotycznych pozorów, ostatecznie do wschodniego kolektywizmu. A więc, krótko mówiąc, naśladownictwo Mussoliniego, Hitlera lub Stalina, przybrane w biało-amarantowe wstęgi, ma zaprowadzić gwałtem i przemocą konsolidację narodu i wykształcić go w obywatelskiej dyscyplinie! Oczywiście wśród tych skrajnie działających, prawdziwie końskich leków proponowane są także i łagodniej działające pigułki o mniejszych dawkach totalistycznej strychniny. Wszak dziś już nawet konserwatywni lekarze polityczni i gospodarczy reklamują kompromisowe pigułki z homeopatyczną dozą wschodniego czy zachodniego totalizmu!

Absurd i groza tych metod biją w oczy. Od początku bowiem świata żadna tyranja państwowa czy społeczna nie stworzyła nigdzie prawdziwej konsolidacji i samorzutnej, z przekonania płynącej dyscypliny narodowej. A już pod żadnym warunkiem

nie stworzy tego w mentalności polskiej, przyzwyczajonej od wieków do swobody indywidualnej i ceniącej wolność ponad wszystko. Stąd też wszelkie koncepcje sztucznej konsolidacji i przymusowej dyscypliny Polaka nie zmienią, natomiast groźne mogą stać się dla państwa, zatruwając i osłabiając wszystkie dobre strony polskiego społeczeństwa.

Nie tędy więc droga. Aby znaleźć właściwą, należy najpierw zanalizować objektywnie, w czem leży sedno złego. Analiza taka, może ostra z konieczności i brutalna, wykaże już sama przez się właściwe środki zaradcze, kładąc kropki nad i. A sprawa to wcale nie teoretyczna, wręcz przeciwnie, bardzo praktyczna i piekąca, gdyż według wszelkiego prawdopodobieństwa staną niebawem przed Polską wielkie i bardzo realne zadania, którym sprostać będzie mógł jednak tylko naród, odpowiednio skonsolidowany i wewnętrznie zdyscyplinowany.

Otóż uważna, rzeczowa, integralna analiza faktów wykazuje następujący stan rzeczy.

Przedewszystkiem znaną jest rzeczą, codziennem doświadczeniem dwudziestu lat minionych aż nadto dotkliwie udowodnioną, że — mimo szumnych apelów do przedsiębiorczości i twórczości obywatelskiej — właśnie przedsiębiorczość ta i twórczość bywa z reguły wrogą psychiką anarchicznego ducha narodowego hamowana. Wyzywamy w szranki każdego, kto ośmieliłby się zaprzeczyć, że jakakolwiek prywatna inicjatywa twórcza na jakiemkolwiek polu nie spotyka się odrazu z wrogą, bezmyślną, lekceważącą postawą tych wszystkich sfer polskich — politycznych lub gospodarczych — których dana inicjatywa dotyczy. Niech przedsiębiorca jakiś zainicjuje u nas choćby fabrykę mydła w Wilnie, a spotka się nieuchronnie z najbardziej wrogą kontrakcją ze strony przemysłowych sfer Warszawy, Poznania, lub Krakowa. Niech powstanie gdziekolwiek w Polsce choćby tylko ideowa, bezinteresowna akcja i organizacja w jakimkolwiek zakresie, to niezwłocznie wyrosną podobne pomysły w innych punktach państwa, pod kierownictwem bezbrzeżnych zarozumialców i karjerowiczów, które z zaciekłą zażartością rzucą się na ową pierwszą inicjatywę i organizację, nie szczędząc wszelkich, nawet nawskroś niemoralnych środków i sposobów, aby ją zniszczyć wobec rządu i społeczeństwa i własną, karłowatą małość zareklamować.

Fakt ten, obnażający najgorszą stronę polskiej psychiki i równocześnie tępej krótkowzroczności, jest aż nadto znany wszy-

stkim polskim pionierom społecznym i gospodarczym. Każdy, kto z nas do czegoś się bierze, musi wziąć w rachubę nietyle trudności techniczne lub finansowe, ile przedewszystkiem bezmyślną, prawdziwie pogańską, a w gruncie rzeczy antypaństwową i antyspołeczną nienawiść rodaków.

A nie mamy tu wcale na myśli starć i walk partji politycznych lub klas społecznych, gdyż to — jakkolwiek dla państwa równie szkodliwe — jest przynajmniej logiczne i zrozumiałe z czysto ludzkiego punktu widzenia. Ale owa zaciekła, bezmyślna nienawiść ujawnia sę również wśród ludzi tych samych przekonań i tych samych interesów.

Wspomnieliśmy wyżej o wrogiem z zasady nastawieniu sfer gospodarczych wobec każdej nowej inicjatywy. Ale zupełnie tego samego doświadczyć może każdy, kto wystąpi z jakąkolwiek inicjatywą ideową — polityczną, społeczną lub moralną. Wszak choćby już tylko taka idea, zdawałoby się nadrzędna, powszechnie użyteczna, a nie godząca w żadne ambicje partykularne, jaką jest głośna obecnie sprawa kanonizacji Królowej Jadwigi, napotyka w świeckich sferach katolickich na zażartą kontrakcję ze strony różnych, śmiesznie ambitnych jednostek oraz ze strony podwórkowego, małostkowo-prowincjonalnego partykularyzmu, w czem chodzi tylko o to, aby dana, komicznie zarozumiała osoba lub dana dzielnica zagarnęły dla siebie wyłącznie laury dokonania tego dzieła.

Jeżeli nawet w takich sprawach panuje tępa nienawiść, daleka od idei chrześcijańskiej, to cóż dopiero mówić o dziedzinie gospodarczej i politycznej, gdzie chodzi o rzeczy znaczniej przyziemne: dolary, mandaty, władzę, ordery i różne inne korzyści. A w ostatecznym rezultacie — który tu bez pardonu demaskujemy — chodzi o jakieś bardzo tłuste posady na Górnym Śląsku, czy gdzieindziej, do czego zmierza ostatecznie w Polsce każda karjera w swych niby tajnych marzeniach.

Tak, ale jasnem jest, że w takich warunkach wszelkie państwowo-twórcze zamierzenia muszą być w samym swym zarodku paraliżowane. W takiej bowiem bezmyślnej, pogańską nienawiścią zatrutej walce nikt nie jest w stanie nic pozytywnego dla narodu i państwa dokonać. Co najwięcej tu i tam powiedzie się jakiejś arcyskromnej jednostce zabłysnąć chwilowo efemerycznym tryumfem osobistym lub napełnić sobie kieszenie banknotami, ale ani jednostka ta trwałej pozycji tą metodą nie pozyska, ani ogół i państwo nie osiągną żadnej korzyści, a prze-

ciwnie: tylko zahamowania na drodze zdrowego, naturalnego rozwoju. Oto wymowny obraz anarchji, jakiej każdy czynniejszy i baczniejszy człowiek jest w Polsce świadkiem od lat dwudziestu. Dawne szlacheckie liberum veto, które dla egoizmu i fantazji jednostki deptało bez skrupułu najżywotniejsze interesy państwa i ogółu obywateli, ucieleśniło się dzisiaj w formie głuchej, tępej nienawiści wobec każdej użytecznej inicjatywy i pracy. A wszystko to rozgrywa się wśród tragikomicznych odezw i pretensji do budowy Polski mocarstwowej i tak zwanego wzmacniania polskiego stanu posiadania. Jak można wzmacniać ten stan posiadania, jeżeli niemal każdy Polak jest Polakowi wilkiem? W takiej sytuacji bowiem nie będziemy nigdy w stanie oprzeć się bez porównania sprawniej skonsolidowanej akcji ukraińskiej, żydowskiej i niemieckiej.

Powtóre dochodzi do tego inny, praktycznie niezmiernie ważny hamulec w mentalności polskiego ogółu. Ogół ten bowiem podziwia w obecnej dobie, a nawet usiłuje karygodnie przyswoić sobie i naśladować w różny sposób, żelazną, bezwzględną dyscyplinę państw totalnych. Bądźmy szczerzy: wszak różnym naszym, starym i młodym, hurrapatrjotom, postępowcom i karjerowiczom politycznym imponuje okrutnie już nietylko faszyzm i neopogański hitleryzm, ale do pewnego stopnia nawet i stalinizm. Jest to jakaś tęsknota podświadoma: wie się dobrze, że pod hitleryzmem kryje się brutalne prusactwo i krzyżactwo, a pod stalinizmem komunizm i moskiewski imperjalizm — a jednak polski, anarchiczny bałaganowiec wzdycha mimowoli do takiego czy innego, żelaznego ładu i porządku, w poczuciu niższości swej anarchicznej natury.

I nic w tem dziwnego. Wszak w Polsce — poza najprymitywniejszem załatwianiem bieżących kawałków na płatnej posadzie, która codzienny chleb do ust daje — nikt nigdy niczego, ani nawet siebie samego, na serjo, prawdziwie na serjo nie traktuje. Jest to istna epidemja, gorsza od dżumy i gorsza nawet od chwilowo przegranej wojny. Bo z dżumy i klęski można się podnieść — ale jak zaradzić na generalne, głęboko w kość i krew społeczeństwa wrośnięte lekceważenie własnego słowa, podpisu i entuzjastycznemi oświadczeniami pieczętowanego zapału, gdy nazajutrz każdy rusza nad tem wszystkiem ramionami? Tysiączne zebrania, komitety i akcje wszelkiego rodzaju dostarczają codziennie wymownych dowodów na ten rzeczywiście

rozpaczliwy stan rzeczy nawet w najpoważniejszych sferach społeczeństwa.

To też nietylko każdy cudzoziemiec, ale nieraz nawet i znający stosunki krajowe i iście wschodnią mentalność polską patrjota doznaje wciąż ciężkich a bolesnych zawodów: dziś bardzo poważne zebranie oklaskuje z głęboko argumentowanym entuzjazmem jakąś akcję czy inicjatywę, a nazajutrz każdy już o tem zapomina i spogląda jak na donkiszota lub niewygodnego wielce raroga na tego, kto ośmieli się przypomnieć, że wczoraj coś entuzjastycznie uchwalono i postanowiono.

Stwierdzamy tu z bewzględną, na długim doświadczeniu opartą apodyktycznością, że podobnie osobliwej, chwiejnej mentalności lotnego dymu nie wykazuje chyba żaden inny naród na świecie, a przynajmniej żadne poważniejsze sfery w jakimkolwiek innym narodzie. Tego bowiem niemasz nigdzie, żeby poważni ludzie, gromadząc się na poważne konferencje w ściśle określonych celach i uchwalając, a nawet podpisując cele te po dłuższej, poważnej dyskusji z jednogłośnym zapałem, traktowali już następnego dnia daną sprawę jak niebyłą. Od Rosji Sowieckiej aż po Stany Zjednoczone, Japonię i Australię nie znajdzie się nigdzie tak osobliwej mentalności.

Każdy może łatwo przekonać się u nas, że na pierwszy apel przyjdzie wprawdzie mniejwięcej w komplecie zaproszona ilość rzekomo gorących zwolenników danej sprawy i każdą rezolucję uchwali, ale już na następne zebranie przyjdzie tylko połowa, z godzinnem opóźnieniem i z całkiem innemi, drobnostkowo-egoistycznemi dążeniami, a na trzeciem zebraniu wszystko się beznadziejnie rozbija wśród małej garstki niedobitków licznego, początkowego ogółu uczestników pierwszego zebrania.

Rdzennie polska ta tragikomedja rozgrywa się od dwudziestu lat setki tysięcy razy we wszystkich sferach i dziedzinach. Wie o tem doskonale każdy nieszczęsny rodak, który dał się wziąć na kawał niby zaszczytnego wyboru na prezesa lub sekretarza jakiejkolwiek nowej akcji prywatnej w Polsce. Bo oczywiście pomijamy tu przed wojną już stworzone instytucje, które swym uczestnikom dają odrazu gotowe posady czy inne korzyści, jak również wszelkie inicjatywy, budowane autorytetami i pieniędzmi Rządu lub Kościoła. Tam oczywiście nie sztuka przyjść do gotowego i wygodnie współdziałać. Ale niech kto spróbuje w obecnej dobie radosnej twórczości polskiej wystąpić z nową inicjatywą prywatną! Załamie się, jak słaba

gałązka, pod miażdżącym naciskiem absurdalnej wrogości rodaków i najprymitywniejszego braku narodowej dyscypliny, chyba, że nic sobie z nikogo robić i na nikogo liczyć nie będzie i pójdzie na udry z całem polskiem społeczeństwem.

Jeszcze raz wzywamy tu w szranki każdego, kto chciałby temu wszystkiemu zaprzeczyć!

Ale wcale nie wynika z powyższego, jakobyśmy mieli złamać nad tym stanem rzeczy nasze pióro i ziać pesymizmem dokoła. Wręcz przeciwnie — jeżeli tak mocno i bezwzględnie prawdę tę głosimy, to właśnie dlatego, że mamy niezłomną wiarę w naprawę złego. Mamy wiarę, że odpowiednio silny, ironją gryzący, batem bijący, a należytą odwagą cywilną natchniony ruch krytyczny wysanować może stopniowo te stosunki. Ponad bowiem wszelkie dzieła gospodarcze, wszelkie najmądrzejsze nawet ustawy, ponad masy broni pancernej, samoloty i wyszkolonych żołnierzy potrzeba nam w pierwszym rzędzie gruntownej zmiany naszej nieszczęsnej słowiańskiej psychiki i nastawienia. Zdemaskować trzeba nicość i blagę, choćby nawet firmowaną przez najpoważniejsze w społeczeństwie nazwiska, a na ich miejsce wprowadzić i ustalić ogólną, mocną dyscyplinę obywatelską i poszanowanie własnego słowa, podpisu i zaangażowania. Polak musi wyzbyć się swego nadmiernego, anarchicznego indywidualizmu, którego rdzennem źródłem jest pycha, a stanąć karnie i punktualnie przynajmniej tam, gdzie się sam, dobrowolnie do czegoś zaangażował. Precz z figurantami! Powiedz raczej krótko nie, jeżeli nie masz zamiaru brać w czemś udziału, ale gdyś raz powiedział tak, to nie wolno ci wykręcić się z tego sianem. W tem prostem a logicznem żądaniu leży cała przyszłość narodu.

I nie uznajemy bezwzględnie żadnej modnej wymówki „nawału zajęć". Najpierw — oprócz bardzo nielicznych wyjątków — wiemy dobrze z doświadczenia, iż nieprawdą jest, jakoby współczesny Polak cierpiał istotnie aż na taki nawał zajęć zarobkowych, żeby mu one mogły przeszkodzić w jakiejś poważnej akcji, do której na serjo się zaangażował i którą na serjo traktuje. Wiemy doskonale, iż żaden nawał zajęć nie przeszkadza zapaleńcowi brydża trawić wielu godzin nad tem zarówno inteligentnem, jak i wielce produktywnem zajęciem! Nie przeszkadza mu w rozrywkach, sportach, polowaniach, rozkoszach muzykalnych i wszelakich innych prywatnych zajęciach. Żaden nawał zajęć nie przeszkodzi prawdziwemu miłośnikowi sztuki, literatury lub

przyrody zajmować się intensywnie temi amatorskiemi zajęciami, już nie mówiąc o ludziach, którzy długie godziny w klubach i kawiarniach na płochem plotkowaniu spędzają. Ale gdy chodzi o Polskę, o sprawę publiczną, o akcję szerszego znaczenia, do której się ktoś z początkowym entuzjazmem zaangażował, to nagle zjawia się u nas wstrętna, zakłamana wymówka nawału zajęć i unicestwia najpożyteczniejsze zamierzenia.

A nadto, jakże ta wymówka zarobkowych zajęć prywatnych przez dwadzieścia sześć godzin na dobę daje się pogodzić z całym tym modnym ruchem antysemickim, którego jesteśmy świadkami? Wszak jasnem jest, że jeżeli naród jakiś chce się na serjo pozbyć pewnych żywiołów, które uważa za niepożądane, to musi przedewszystkiem wykazać z jednej strony większą od nich spoistość i dyscyplinę, z drugiej zaś wręcz przeciwną owym niepożądanym żywiołom mentalność. Inaczej wszelkie sztuczne, czysto techniczne tylko usiłowania pozostaną bez skutku. Czy więc ów przysłowiowy polski nawał zajęć zarobkowych, rzekomo wykluczający punktualność, solidność i dyscyplinę na wszelkich innych polach, nie jest w gruncie rzeczy identycznym z izraelskim tańcem koło złotego cielca? Niech stuprocentowcy polscy dobrze nad tą sprawą się zastanowią!

Wszak codzień spotykamy się z paraliżującem wszelką inicjatywę pojęciem, wypowiadanem przez stare i młode usta, iż „realnem i konkretnem" jest tylko to, co już gotowe, bezpośrednio przed nami na talerzu leży i co natychmiastowe przynosi zyski. Niechże Polak głęboko zastanowi się nad pochodzeniem i paraliżującym wpływem obu tych podstępnych wyrazów: realny i konkretny — którymi burzy się w Polsce zgóry, w zarodku wszystko to, co ma i powinno powstać. Tymi dwoma wyrazami, zastrzykniętemi z wielkim sprytem naszej prymitywnej, słowiańskiej naturze, unicestwia się rzeczywiście konkretne rezultaty różnych twórczych zamierzeń, zebrań, przemówień, organizacji i pracowitych nieraz wysiłków.

Problem to pierwszorzędny, nawskroś praktyczny, a niezmiernie ciekawy, który wart jest bliższego zastanowienia.

Reasumując powyższe, z codzienego życia i z długiej obserwacji faktów wysnute uwagi, ośmielamy się twierdzić, że nie na wiele zdadzą się doraźne, izolowane, hałaśliwie rozgłośne tryumfy i dzieła polskiego wrodzonego talentu i etatystycznego wysiłku, jeżeli nie zdusi w sobie naród polski owego nielogicznego a niezmiernie szkodliwego ducha nienawiści bliźniego i de-

kompozycji, a na jego miejscu nie utrwali ogólnego poczucia organizacji i dyscypliny. Wiele mogłaby w tym zakresie uczy- nić także i prasa, która narzuca się społeczeństwu dumnie jako niby kierowniczka opinji publicznej. Niestety ta właśnie wiel- ka rola prasy leży u nas zupełnie odłogiem, gdyż dzienniki trzy- mają wprawdzie ze sobą na punkcie egoistycznych interesów zawodowych — czego wyrazem są syndykaty prasowe — ale pozatem dają przykład tak bezmyślnej nienawiści względem wszystkiego, co nie jest adoracyjną koterją danego dziennika, że pozadziennikarska opinja publiczna przyjęła kneblujący bezbrzeżną doniedawna anarchję drukowanego słowa dekret prasowy z ulgą zadowolenia.

A jeżeli tak wielki nacisk kładziemy na stłumienie w odro- dzonem do niepodległości społeczeństwie polskiem ducha wza- jemnej nienawiści i na wzbudzenie odpowiedniej dyscypliny obywatelskiej na arenie pozaurzędowej, to w pierwszym rzędzie dlatego, że staną niebawem — a nawet już dziś stoją — przed eksponowanem państwem naszem wielkie zadania, mające roz- strzygnąć o całej naszej przyszłości, a których korzystna reali- zacja da się osiągnąć nie jakiemiś doraźnemi posunięciami, lecz tylko dobrze przemyślaną, planową polityką i planowem po- parciem całego narodu na nieco dłuższej fali. A to wymaga już bezwzględnie mocnej konsolidacji i wysokiej dyscypliny ze stro- ny całego społeczeństwa, bez czego żadna programowa akcja nie jest możliwą. Zwłaszcza, że otaczają nas sąsiedzi, plany i siły, które zdyscyplinowaną, konsekwentną akcję na długiej fali po mistrzowsku umią realizować. Stąd więc nawet geniusz jakiegoś pojedyńczego męża stanu, prowadzącego nawet najzręcz- niej chwilowe gry dyplomatyczne, w końcu nie pomoże, jeżeli za tą dyplomatyczną akcją i budowaną z wysiłkiem siłą zbrojną nie stanie zdyscyplinowany, skonsolidowany przynajmniej w pewnych kierunkach duch społeczeństwa. Bo konjunktura dy- plomatyczna jest rzeczą zmienną, broń jest maszyną, a dopiero karny duch i zgodny rozmach narodu zadecydują o wszystkiem.

Wszak uprzytomnić sobie dokładnie należy, że utrzymywana dotąd z pochwały godną zręcznością, ale i z wielkim trudem neutralność Polski, niczem zresztą nie zagwarantowana — nie da się po wieczne czasy podtrzymać. Żadnej nie może i nawet nie powinno ulegać dla nas wątpliwości, że prędzej czy później rozpoczną się dokoła nas poważne zmiany. Ruszą się granice naszych północnych i wschodnich sąsiadów, a może nawet i dość

zresztą trwała granica południowa, karpacka, nie wszędzie pozostanie bez zmiany. Drobny, początkowy, ale niemniej bardzo znamienny sygnał tych zmian mieliśmy przecież niedawno i Polska przy tem coś zyskała, coprawda, nietyle, ile pragnęłyby energiczniejsze, bardziej zdecydowane w narodzie naszym żywioły A takie sytuacje, okazje i nawet konieczności mogę zaistnieć dla nas lada rok, lada dzień, nawet w daleko szerszych rozmiarach.

Dopóki bowiem chodziło o trwalszy z natury rzeczy stan pograniczny na zachodzie i południu, to stosunkowo ograniczone stały przed nami problemy. Ale gdy raz ruszy się na serjo wschód i północny wschód, wówczas twarda alternatywa: być albo nie być, zmusi Polskę do daleko większej i energiczniejszej interwencji. Ale interwencja ta, jeżeli ma być nie dorywczą, ale prawdziwie skuteczną, uwieńczoną odpowiednimi sukcesami na północy i wschodzie, to musi być zawczasu, celowo przygotowana — i to nietylko materjalnie przez czynniki miarodajne w państwie, ale niemniej także i przez odpowiednią koordynację nastawienia całego narodu. Sprawa ruska, sprawa rosyjska i bałtycka, specjalnie sprawa litewska, a przytem także sprawa węgierska i słowacka muszą być celowo przygotowane i w danym momencie z całą mocą i decyzją załatwione, każda oczywiście w odmienny, właściwy sposób.

Bardzo ważnym zaś momentem w tej całej akcji, która nas czeka niechybnie pod sankcją w przeciwnym razie zepchnięcia Polski do roli słabego państwa buforowego, jest takie racjonalne, pomyślne rozwiązanie sprawy gospodarczej — bez krępowania zdrowej inicjatywy prywatnej sztucznymi eksperymentami etatystycznego czy społecznego przymusu — żeby zarówno swoboda gospodarcza, jak i rosnący dobrobyt prywatnych sfer obywatelskich w Polsce stworzył siłę atrakcyjną w stosunku do różnych mniejszości narodowych i ludów ościennych. Bez tego bowiem, bardzo realnego momentu oręż polski i sztuka dyplomatyczna nie osiągną przenigdy tej ekspansji państwowej i tych wogóle rezultatów, które w danych okazjach osiągnięte być muszą.

Jakże zaś można to wszystko, co na tem miejscu, oczywiście tylko pobieżnym rzutem, szkicujemy, zawczasu porządnie przygotować, a potem celowo zrealizować, jeżeli u podstaw społeczeństwa istnieje jeszcze ów z dawnych czasów przejęty i w codziennem życiu uprawiany duch wzajemnej nienawiści między

ludźmi, źle pojętej konkurencji na wszystkich polach, niesolidności oraz braku prymitywnych zasad dyscypliny? Faktem jest, że każdy z Polaków ma się w głębi duszy za genjusza i wielkiego człowieka, czuje głęboko wkorzeniony wstręt do wszelkiej na nieco dłuższą metę zakrojonej organizacji i z zasady walczy ze współziomkami o to, w czem właśnie powinien z nimi planowo i mądrze współdziałać. Stąd zaś wypływa w naturalnej konsekwencji ów epidemiczny u nas brak męskiej decyzji i niemniej epidemiczne tworzenie wszędzie „tymczasówek“. Konstytucja ma charakter najwybitniej tymczasowy, ordynacja wyborcza tymczasowy, wszystkie sprawy mniejszościowe też tymczasowy, a sprawy gospodarcze już najchwiejniej tymczasowy. Tymczasowe są tak zwane programy polityczne różnych partji, o ile wogóle którakolwiek z nich ma na serjo coś w rodzaju programu. A najgorsze to, że z zasady wszędzie, we wszystkich sferach co innego mówi się, co innego robi, a co innego myśli — jeżeli wogóle na serjo się myśli. Bliższa, bezstronna, do dna spraw sięgająca analiza naszych stosunków musi wykazać każdemu, nie uprzedzonemu jednostronnie jakąś doktryną, że cała Polska jest na wewnątrz jakgdyby jedną „tymczasówką“.

Można to usprawiedliwić w znacznej mierze anarchicznym spadkiem duchowym naszych przodków oraz naturalnemi niedomaganiami niedawno wskrzeszonego państwa. Ale nie możnaby już żadną miarą usprawiedliwić dalszego, biernego przedłużania się tego stanu rzecy. Niech mają Polacy swobodę przekonań, niech grupują się swobodnie w różne stronnictwa polityczne, boć trudno wymagać od inteligentnych zwłaszcza ludzi, aby byli stadem, pozbawionem własnych zdań i poglądów na różne krajowe sprawy. Sprzeciwić się należy więc stanowczo wszelkim próbom dyscyplinowania polskiej mentalności za pomocą eksperymentów sztucznego monopartyjnictwa, totalizmu lub niewoli społecznej w jakiejkolwiek postaci. Ale niechże Polak przestanie być Polakowi wilkiem. Niechże nie zwalcza bezmyślnie, głupio, a nieraz wprost występnie inicjatywy, pracy i wysiłków bliźniego tępo-upartą kontrakcją, miażdżącem lekceważeniem, gryzącą ironją lub szkalowaniem właśnie najporządniejszych i najdzielniejszych ludzi w kraju. Niechże anarchiczny, zarozumiały polski indywidualista zrozumie nareszcie, że wysiłek pojedyńczego człowieka w nowoczesnem państwie i społeczeństwie pójdzie prędzej czy później zawsze na marne,

jeżeli nie spotyka się z życzliwem zrozumieniem pewnego szerszego ogółu i ze zbiorową współpracą. A z całej tej analizy. bolesnej ale prawdziwej, wynikają już same przez się — jak się wyżej rzekło — najwłaściwsze środki zaradcze: robić wręcz przeciwnie, niż się dotąd robi. Zbierając rzecz w krótką tezę o cechach łatwo zrozumiałego dla wszystkich hasła, można rzucić parolę:

Niech Polak, pracujący uczciwie i twórczo w odrodzonej Ojczyźnie, nie znajduje w niej anarchicznych wrogów, lecz zdyscyplinowanych sympatyków! W tym jednym, lapidarnym postulacie kulminuje cały sens obecnego życia i zarazem dyrektywa przyszłego rozwoju ojczyzny. Bo pod to żądanie da się podciągnąć wszystko, co się w kraju na wszystkich polach dzieje i co odtąd — ale całkiem inaczej — dziać się powinno.

My dzisiaj w naszej pracy obywatelskiej, w ciężkich prowadzonej warunkach, nietyle potrzebujemy krytyki, zwłaszcza zjadliwej krytyki dziennikarskiej lub partyjnej, ile przedewszystkiem wzajemnej, zbiorowej pomocy. Dziennikarze i politycy całkiem błędnie nieraz pojmują rolę tak zwanego „krytycznego głosu opinji publicznej", rzucając się z zasady z całą zaciekłością, a przytem i karygodną powierzchownością niemal na każdego, który coś pozytywnego chce w kraju dokonać. Zjadliwa ta krytyka, paraliżująca najużyteczniejsze nieraz zamiary i dyskredytująca ostatecznie Polskę wobec Polski i w oczach zagranicy, która przecież czyta i słucha uważnie, co sami Polacy o sobie nawzajem mówią i piszą, nie wyklucza u nas jednak wstrętnego, płaskiego serwilizmu, który w przeciwną ostateczność wpadając, pada plackiem przed każdym, kto wydaje się potężny i nigdy nie powie mu pożytecznych słów objektywnej prawdy.

Wszystkie te sprawy, w niniejszym referacie poruszone, a mające charakter psychologiczny, miałyby bez porównania mniejsze znaczenie, gdyby jakiś mówca zagraniczny wygłaszał je w Niemczech, Francji, Anglji lub Ameryce. Bo tam takie rzeczy same się przez się rozumieją, gdyż narody te nie przechodziły okresu upadku niepodległości wskutek anarchji, ale rozwijały się normalnie. Natomiast we wskrzeszonej Polsce w najpierwszym rzędzie chodzi już nawet narazie nietyle o to, co i w jakim rozmiarze ma być robione, ale przedewszystkiem o to, jak ma być robione: w jakim nastroju, wśród jakich objawów psychiki społeczeństwa? Od tego właśnie wszystko u nas zależy.

Słusznie powiedział raz jeden z naszych współczesnych, wybitnych ekonomistów, omawiając w wielkiem przemówieniu publicznem nasze sprawy gospodarcze: że w Polsce więcej, niż gdziekolwiek indziej, konjunktury finansowe i gospodarcze wogóle są zależne nietyle od rzeczywistości gospodarczej w każdym danym momencie, ile przedewszystkiem od różnych psychicznych imponderabiljów, któremi kieruje się polska opinja rynkowa. Niemal dosłownie to samo można powiedzieć i o innych dziedzinach naszego życia. I dlatego kładziemy tak wielką a praktyczną wagę na racjonalną przemianę psychiki polskiej w duchu wymagań nowoczesnego państwa o aspiracjach i istotnych możliwościach mocarstwowych, to jest w kierunku wyrobienia u naszych rodaków odpowiedniego zmysłu *konsolidacji myśli i czynów* oraz dyscypliny wewnętrznej, ale nie w zakresie sztucznego wyrównania pod jeden sznur indywidualnych przekonań politycznych, lecz wzbudzenia w narodzie polskim trudnej a koniecznej umiejętności planowego rozwiązywania wielkich zadań państwowych na dłuższą metę.

Zważmy, że doktryny bezwzględnej dyscypliny, a nawet niewoli etatystycznej ogarniają dzisiaj coraz bardziej już niemal świat cały, oczywiście w różnych formach i stopniach. Zwłaszcza zaś prawie wszyscy nasi sąsiedzi mają państwa o charakterze żelaznego, brutalnego totalizmu, gdzie cały naród stanowi niejako jeden miecz w ręku jednego człowieka.

Rzecz jasna, że my, Polacy, aż tak daleko posuniętego skrępowania absolutnie sobie nie życzymy i nie potrzebujemy. Ale niemniej jasnem jest, że społeczeństwo nasze, wciśnięte między tak bezwzględnie szkolone potęgi, musi przynajmniej samo z siebie i dla siebie wyłonić odpowiednią karność obywatelską i zmysł do planowej organizacji w każdej dziedzinie, jeżeli Polska ma się ostać. Przypomnijmy sobie bowiem najgłówniejszą przyczynę dawnego upadku i rozbiorów. Wszak doszło do tej katastrofy głównie z tego powodu, że dokoła nas wyrabiały się i wzmacniały przez dwa poprzednie wieki trzy sąsiednie potęgi pod władzą absolutyzmu monarszego, który dał tym narodom mocną szkołę karności i państwowego wychowania — podczas gdy Polska słabła i gniła w tym samym czasie w ustroju i rozstroju naiwnych, coraz bardziej anarchicznych koncepcji demokratycznych, stanowczo przedwczesnych dla niedość politycznie wyrobionego społeczeństwa.

A że, jak dobrze wiadomo, historja nieraz się powtarza, więc dzisiejsza sytuacja Polski wobec totalistycznej, po drakońsku zdyscyplinowanej zagranicy — aczkolwiek znacznie lepsza, niż w okresie przedrozbiorowym — jednak do pewnego stopnia stosunek ten przypomina. Tam bowiem życie, źle czy dobrze urządzone, maszeruje naprzód karnie, punktualnie i to nawet pod grozą srogich kar. A u nas, mimo wszelkich, nieraz nawet świetnie wyglądających pozorów i sprężystych, apodyktycznie brzmiących enuncjacji różnych czynników oficjalnych i prywatnych, mimo nawet aż zanadto rozpanoszonego etatyzmu i interwencjonizmu państwowego, panuje w społeczeństwie jeszcze suwerennie starodawna mentalność anarchicznej swobody i przysłowiowa maksyma: jakoś to będzie! A wszelkie usiłowania zdyscyplinowanego, konsekwentnie zorganizowanego działania w określonych kierunkach i celach spotykają się z reguły z odruchową niechęcią wszystkich sfer społeczeństwa, zwłaszcza sfer inteligencji. I dlatego niepodobna, oprócz krótkotrwałych imprez fajerwerkowych, właściwie żadnej planowej, dobrze zorganizowanej akcji przeprowadzić aż do ostatecznego, pomyślnego rezultatu. Wszelkie wysiłki w tym zakresie topią się raz po raz beznadziejnie w słynnej polskiej ciepłej wodzie.

Groźnie może oddziałać ta psychika narodowa na niższe przedewszystkiem warstwy społeczeństwa, które wciąż tu i tam buntują się przeciw właśnie temu systemowi wygodnej, miękkiej, niezdecydowanej „tymczasówki" — czego ostatnie lata zastraszające przyniosły nam gdzieniegdzie przykłady. Tylko, że o nich nie wolno było donosić prasie. Ale opinja publiczna dowiaduje się i tak prędzej czy później o całej prawdzie. Groźnie również przedstawia się nasz brak wewnętrznej dyscypliny wobec różnych mniejszości narodowych, z których właśnie dlatego żadna nie jest dotąd na serjo pozyskana dla idei naszej państwowości. Zwala się tu arcywygodnie winę na rząd. Łatwe, tanie, powierzchowne krytykowanie tego lub owego ministra — czyli raczej kiwanie na niego palcem w bucie od stolika kawiarnianego lub brydżowego — jest jedynym wyrazem naszej rzekomej aktywności politycznej. Tymczasem główna wina leży w samym społeczeństwie, a zwłaszcza w jego warstwach wyższej inteligencji, od których można i należy oczywiście więcej wymagać.

Czego wymagać? Aby każdy Polak, mający się za coś, liczył się sumiennie ze swem słowem. Jeżeli do czegoś się zaangażuje

i zobowiąże, żeby nie spuszczał się na jakichś innych, ale zobowiązanie swe sam karnie a systematycznie wykonał. I tu jedną generalną dajemy dyrektywę: absurdem jest zapisywanie się inteligenta polskiego do nieskończonej ilości zrzeszeń, instytucji i akcji wszelkiego rodzaju, przez co wszędzie może być tylko śmiesznym, niepunktualnym, bezproduktywnym figurantem, wymawiającym się wciąż rzekomym nawałem innych zajęć. Należ — poza pracą zawodową — do jednej tylko, a co najwięcej do dwóch organizacji, ale obowiązki w nich wykonuj na serjo, uważając je sobie za punkt własnego i narodowego honoru!

Tej jednej tylko trzeba psychicznej reformy i na tem polu winny zarządy i wogóle kierujący ludzie zastosować bezwzględną dyscyplinę i niemniej bezwzględną czystkę. Wylecieć winni, jak z procy, wszyscy bezużyteczni figuranci ze stowarzyszeń i instytucji, bez względu na to, kim są i bez obawy przed jakąkolwiek obrazą i reakcją. Każdy, kto zna dobrze polskie stosunki i rozumie więź i konsekwencję przyczyn i skutków, ten przyznać musi, że w obecnej epoce sytuacji naszego państwa niema ważniejszej sprawy, jak właśnie to wzajemne zmuszanie Polaków samych przez siebie do ugięcia ich dumnych, anarchicznych karków pod jarzmo prostej logiki organizacyjnej i dyscypliny społecznej. Bo z takiej, wzajemnej, zbawiennej szkoły będą dopiero mogły wyłonić się odpowiednie rządy i oficjalne przedstawicielstwa narodu, które przecież wszędzie i zawsze w ostatecznym rezultacie są emanacją psychiki społeczeństwa. Jeżeli więc ktokolwiek z nas porywa się na krytykowanie naszego ustroju, stosunków, rządów i samorządów, to niech najpierw dobrze sobie uświadomi, że wszystko to, co mu się nie podoba i co chce krytykować, jest ostatecznie własnym jego dziełem, pomnożonem przez analogiczną mentalność miljonów współrodaków. Od siebie też, od mocnej krytyki własnego postępowania winien zacząć każdy, kto chce zabrać głos w sprawach publicznych.

Niepodobna żądać na serjo Polski, korzystnie i sprężyście zorganizowanej i mocarstwowej, dopóki w umysłach poszczególnych Polaków panuje w sprawach życia prywatnego dezorganizacja, a przez nią i dekompozycja. Odwracając słusznie przysłowie, niech każdy powie sobie: jaki kram, taki pan! Jakim jest i będzie obywatel polski, taką jest i będzie jego ojczyzna, która wszak nie jest ostatecznie żadną fikcją, ale zbiorowiskiem

obywateli. Miejmy — i musimy mieć — nietylko nadzieję, ale mocną pewność, że w szybkim tempie wykształci się w najbliższym czasie ów nowy, zdawna upragniony typ mocarstwowego Polaka, którego najważniejszą cechą musi być wewnętrzna dyscyplina i nieugięta konsekwencja w działaniu na podstawie raz złożonego podpisu czy słowa. A wówczas cały rozwój państwa ruszy z miejsca z daleko większą, niż dotąd, logiką, sprawnością i rozmachem.

Polski Gdańsk, a nowy najazd Białej Rosji

Ostatnie zajścia w Gdańsku, których fragmentarycznym tyl= ko coprawda, ale niemniej charakterystycznym wyrazem prus= kiego rozwydrzenia był napis na jakimś lokalu „Psom i Pola= kom wejście wzbronione“, stanowić muszą dla nas nowy, ko= nieczny asumpt do wznowienia sprawy Gdańska na tych ła= mach.

Przypominamy, że od dawna już poruszaliśmy tu tę sprawę, twierdząc, iż Polska winna w odpowiednim momencie zrobić z Gdańskiem, jak to się mówi, krótki proces. Przypominamy nasz obszerny artykuł o niezbędnej konieczności opanowania przez Polskę całej Wisły, od źródeł do ujścia, jako naszej cen= tralnej, odwiecznej i zarazem jedynej wielkiej arterji wodnej. Polska, odcięta od ujścia Wisły, pozostanie zawsze państwem, ściśniętem za gardło. Żadne Gdynie i inne porty na to nie po= mogą.

Artykuł ten przedrukowała niemal w całości jedna z najwięk= szych gazet niemieckich w Polsce, łódzka „Freie Presse“.

Obecnie sprawa ta staje się coraz bardziej piekącą, zwłaszcza w miarę zaniku teoretycznej kontroli nad Gdańskiem ze strony Ligi Narodów. Tam chodzi już teraz tylko o rozprawę między Polską a Niemcami. Ale, że to, jak wiadomo, Nasza Przyszłość ma zawsze swój oryginalny sposób stawiania sprawy, więc też i do sprawy Gdańska pozwalamy sobie podejść inaczej, niż ro= bi to zdawkowa opinja, choćby podejście to wydawało się ko= muś paradoksalnem na pierwszy rzut oka.

Otóż pomijamy tu krótko pierwszą naszą walną tezę, dawno już ustaloną, że cała Wisła musi być silnie w naszem ręku, przy czem żadna krzywda państwu niemieckiemu się nie stanie, gdyż państwo to ma dość wielkich rzek spławnych i olbrzymich por= tów, aby mogło nam na serjo zadrościć ujścia Wisły i Gdańska. Posiadanie Gdańska nie leży w żywotnym interesie Niemiec, a natomiast leży w najżywotniejszym interesie Polski.

I ten fakt, to hasło winny na cały świat odważnie głosić zgodnym chórem wszystkie przynajmniej prywatne sfery polskiego społeczeństwa jako integralny wyraz potrzeby i woli narodu. Taki vox populi jest zawsze i wszędzie początkiem osiągnięcia upragnionego przez naród celu, choćby nawet oficjalna dyplomacja inaczej musiała przemawiać. Dyplomacja bowiem musi liczyć się z różnymi względami, naród zaś w żywiołowem dążeniu do pewnych doniosłych celów żadnych takich względów uznawać nie ma potrzeby.

Obserwujemy wszędzie na świecie, że pierwszym krokiem do odzyskania czy uzyskania przez jakiś naród pewnego terenu poza chwilową granicą jego państwa bywa z reguły takie żywiołowe i wszechstronnie z naciskiem argumentowane podniesienie pretensji do danego terenu, żeby stawał się on w opinji świata coraz bardziej „obszarem spornym". Ostatnie dzieje powojenne (np. Abisynja i Tunis) dostarczają nam wymownych na to przykładów. A Anschluss Austrji i obszarów czeskoniemieckich? Chyba jasne....

Otóż ujście Wisły, które Rzesza niemiecka zaczyna sobie „bezspornie" coraz wyraźniej anektować, musi jak najprędzej stać się najpierw takim „obszarem spornym" wskutek żywiołowego głosu i parcia całego narodu polskiego, tak, aby dyplomacja europejska zaczęła się do tego przyzwyczajać i zastanawiać, że przecież cała Wisła może istotnie jest żywotnym warunkiem egzystencji Polski, a przez to i pokoju w Europie wschodniej!

A nasze dobre, a przynajmniej poprawne w tej chwili stosunki z Niemcami? Nic to nie ma do rzeczy, a raczej wręcz przeciwnie: Niemcy, mający z nami, a raczej z Rządem naszym, pakt o nieagresji, winny tembardziej liczyć się z faktem realnym, że mając w ręku takie porty na dwóch morzach, jak Bremę, Hamburg, Kiel, Szczecin i Królewiec, nie licząc szeregu pomniejszych, muszą nam pozostawić Gdańsk. To jest jedyna, prawdziwie mocarstwowa linja rozumowania i propagandy z naszej strony, poparta nadto widocznym argumentem sprawiedliwości. Oczywiście tak nie mogą odrazu argumentować odpowiedzialni dyplomaci, ale może i winien tak argumentować naród. Nietylko winien, ale i musi, bo Niemcy w analogiczny sposób dobierają się bez ceremonji już i do Kłajpedy. Jeżeli więc Polska chce być jakąś neutralną „Szwajcarją" — niestety bez najważniejszego czynnika: fortyfikacji alpejskich — to niech pozwoli w imię

„świętego spokoju“ zasznurować sobie przez Niemców prawdziwy dostęp do morza. Bo twierdzimy tu jak najkategoryczniej, że Gdynia prawdziwego, organicznego dostępu do morza mimo wszystko nie stanowi! Wystarcza rzut oka na mapę wybrzeża.

Ale zachodzi w tym problemie — poza haniebną obawą przed pruską pięścią ze srony różnych naszych strachopuchów i kwietystycznych gieszefciarzy — inny problem, rzekomo ważny w epoce źle rozumianego, a sztucznie rozdętego nacjonalizmu, który na niejednem polu dotkliwie polską myśl mocarstwową paraliżuje: wszak Gdańsk jest niby miastem niemieckiem!

Ci, którzy w tem widzą jakąkolwiek przeszkodę, składają tylko jaskrawy dowód, że nie rozumieją zupełnie ani sensu dziejów, ani misji historycznej, ani wielkiej racji stanu Polski. Zapewne, przyłączony Gdańsk nie głosowałby przy wyborach na kandydatury endeckie, chadeckie, onerowskie czy ozonowskie, czy inne. Głosowałby na kandydatury gdańskie. A ponieważ najgłębsza „racja stanu“ współczesnego Polaka jest być wybranym efemerycznym posłem i otrzymywać na 1-go każdego miesiąca pensję poselską, więc wobec tego polscy politycy nie są w stanie zrozumieć, że może zaistnieć miasto niemieckie, czy litewskie, czy ruskie, czy białoruskie, mówiące swym rodowitym językiem, a jednak mocno przywiązane do wielkiej Rzeczypospolitej między Odrą a Dnieprem. Ta wielka, historycznie udowodniona prawda nie może przeniknąć do twardych czaszek naszych polityków, mających grubość „murów mamertyńskiego więzienia“.

Język polski wcale jeszcze nie jest dowodem głębiej pojętej polskości i polskiej racji stanu. Mieliśmy nieraz sposobność stwierdzić bez żadnych wątpliwości, że ludzie z pewnych okolic, mówiący po niemiecku i prawie nie znający języka polskiego, okazywali się jednak głębiej myślącymi zwolennikami wielkiej Rzeczypospolitej, niż wielu z naszych, powierzchownych ultra-patriotów, których patriotyzm sprowadza się jednak w ostatecznym rezultacie tylko do zdobycia mandatów i djet poselskich.

Otóż po niemiecku mówiący Gdańsk (a niechby nawet i po chińsku!) może bardzo łatwo stać się rdzenniejszą ostoją polskiej racji stanu od lekkomyślnej, roznacjonalizowanej Warszawy. Ale trzeba nad każdym problemem racjonalnie popracować.

Pieśń „Tysiąc walecznych opuszcza Warszawę“ ma swój oryginał w poezji niemieckiej. Gdańsk, skazany na zerową po- zycję wobec innych portów niemieckich, widzi rację swego by- tu i interesu w polskiem zapleczu. A stąd najprostsza konkluzja — że winien wrócić do Polski. Stanowczo przeczymy, jakoby modernistyczny nacjonalizm językowy i rasowy mógł przeciw- stawić się trwale rozumnej polityce.

Trzeba tylko potężnie, zdecydowanie i bezkompromisowo rzucić suwerenne hasło, że trzy miasta polskie stanowią słupy demarkacyjne nad Wisłą: Kraków nad górnym jej biegiem, Warszawa nad środkowym i Gdańsk nad dolnym. A jakim językiem załatwia się polskie interesy w tych trzech miastach, to rzecz stosunkowo uboczna. Niech mówi się i po chińsku, byleby tylko Orzeł Polski roztaczał swe skrzydła. A tych orłów pol- skich nie brak w Gdańsku. Tylko, że podwórkowy polski na- cjonalizm językowy — stały pomniejszyciel naszej Ojczyzny — pragnie, aby wszystkie przekupki gdańskie szwargotały jaką- kolwiek polską gwarą. A my, z pod znaku Naszej Przyszłości, ośmielamy się twierdzić, że niech mówią po niemiecku, byle tyl- ko czuły, choćby podświadomie, swą organiczną przynależność do polskiego Hinterlandu, a wstręt do prusaczyzny.

Takich prymitywnych zasad dążenia muszą nauczyć się współ- cześni Polacy, jeżeli nie mają skazać się sami na kręcenie się bez- nadziejne w wąskim podwórku swych doraźnych interesów co- dziennych i paraliżować własne, szumnie głoszone pretensje do mocarstwowości. Ale obowiązuje przy tem jeden kardynalny warunek: polski, bezkrytycznie zachłanny fiskalizm nie powi- nien mieć dostępu tam, gdzie chcemy zjednać dla siebie ludzi i ziemie. Najgorszym bowiem nieprzyjacielem mocarstwowej ekspansji Polski jest polski ustrój i urzędnik skarbowy oraz in- ne przymusowe przybudówki fiskalizmu, jak „podatki“ ubez- pieczeniowe i inne błogosławieństwa społeczne.

Gdzie przeszła stopa takiego widziadła, niczem jest klęska wiosek ani grodów! Trzeba ludzi i kraje przyciągać do Polski realną korzyścią — możnością sutego zarobku, nie prześladowa- nego przez tępy, krótkowzroczny etatyzm. Gdańszczanie muszą być przekonani, że w ustroju polskim zarobią daleko więcej, niż w niemieckim. Fiskus polski musi tu stanowczo ustąpić. Gdańsk musi otrzymać przywileje bogacenia się bez etatystycznej prze- szkody. Inaczej wszystko na nic. Proletarjackiemi doktrynami

i krótkowzrocznem ściganiem każdego grosza przez nasze urzędy podatkowe daleko się z Polską nie zajedzie.

I w tem leży właśnie kapitalne sedno zagadnienia. Wyciśnięto z nas ostatni grosz, aby setkami miljonów zbudować etatystyczną Gdynię ku chwale nielicznych, ambitnych jednostek. Dziesięć razy mniejszą kwotą, celowo i rozważnie ulokowaną w Gdańsku, można było Gdańsk pozyskać, zdobyć nareszcie ujście Wisły i oszczędzić sobie niezmiernych, a ubocznych inwestycji reklamowych.

To jest nasze twarde zdanie i mocne przekonanie, od którego ustąpić nie możemy.

Ale skoro ten kardynalny błąd już nastąpił, to jaki ma być odtąd polski system działania wobec Gdańska? Prosty i jasny.

Z jednej strony bezwzględna groźba inwazji dywizji polskich, gdyby hitlerowcy mieli dalej panoszyć się w Gdańsku, z drugiej skierowanie ruchu towarowego i pieniężnego więcej do Gdańska, niż do Gdyni i zajęcie wobec Gdańszczan życzliwego stanowiska pod narzuconym zdecydowanie hasłem: wyzwolenia ich z pod miażdżącej supremacji Berlina i tamtejszego ustroju coraz większej niewoli społecznej.

Nie odrazu zrobi to swój skutek, bo dwadzieścia lat błędów niepodobna za jednym zamachem odrobić. Ale, że osiągnie swój cel po jakimś czasie to pewna. A wówczas zajęcie Gdańska bez wojny będzie jeszcze prostszą sprawą, niż zabór Austrji i połowy Czech przez Niemców. Aby jednak to mogło nastąpić, zechciejcie zrozumieć szanowni rodacy, że trzeba mniej aktualistycznej, zastraszonej dyplomatyki, ile przedewszystkiem zdrowego ducha ofenzywy i głębszego zrozumienia polskiej racji stanu.

Gdy tak staje przed nami problem gdański w całej swej rzeczywistości i pilności, tymczasem od południa zaczyna grozić nam również zasznurowanie i to w najniebezpieczniejszej formie.

Imperjalistyczna myśl pruska, która od czasów Bismarcka w niczem się nie zmieniła — a tylko bardzo zręcznie pewne odmienne przybrała mundury — dochodzi na własnych doświadczeniach od ćwierci wieku do przekonania, że mentalność ukraińska nie może być w niemieckiem ręku narzędziem do zaszachowania równocześnie Polski i Rosji. Kokietują wprawdzie jeszcze Niemcy z różnego rodzaju „Ukraińcami", przyczyniają się do podtrzymania ropiącego wrzodu ukrainizmu na Rusi Zakarpackiej, ale to tylko uboczna z ich strony akcja dywersyjna. Wysłana ad hoc komisja niemieckich uczonych stwierdziła

i zreferowała w Berlinie, że Ruś Zakarpacka to nędzny skrawek górzysty, gdzie nic pozytwnego zrobić się nie da. W sam raz dobry dla podsycania sztucznego ukrainizmu przeciw Polsce, Węgrom i Czechom. Inny natomiast program niemiecki zaczyna teraz dojrzewać.

Przekonawszy się, że Ukraińcy nie mają w sobie ani śladu zdolności państwowo-twórczej i że polegać na nich w większych planach niepodobna, zwrócili Niemcy swą uwagę na młodszą generację białej emigracji rosyjskiej. Wiadomo, że właśnie emigracja białorosyjska, to najgorszy wróg Polski na całym świecie. Żaden bolszewik, żaden Ukrainiec, żaden junker pruski nie jest nam tak niebezpieczny, jak niepoprawny, dyszący zemstą i nieprzytomnym imperjalizmem emigrant carsko-rosyjski. Literatura antypolska tej emigracji, domagająca się wciąż inkorporacji do Rosji „rdzennie rosyjskiego" Lwowa i wogóle, jak się zdaje, całej Polski, nie pozostawia w tym względzie żadnych wątpliwości.

Słyszy się wprawdzie — z bardzo sprytnie działających źródeł — że młodsze pokolenie tej emigracji ma być rzekomo już inne, przyjaźniej dla Polski usposobione. Niech wierzy w to, kto chce, ale my jesteśmy bezwzględnie przekonani, że, mimo wszelkich pozorów, właśnie to młodsze pokolenie jest jeszcze bardziej wrogo do Polski nastawione od starszego. Dyszy bowiem jeszcze większą zemstą za „krzywdy ojców". Z politycznego punktu widzenia wolimy — z dwojga złego — mieć do czynienia ze stu bolszewikami, niż z jednym emigrantem białorosyjskim.

Otóż dochodzą nas fantastycznie brzmiące, ale ze względu na niemiecką rękę nie dające się lekceważyć wiadomości, iż sprawa Wielkiej Ukrainy została w planach Berlina przekreślona, a na jej miejsce wysunięty projekt, który cytujemy dosłownie:

Stworzenia wielkiego księstwa małorosyjskiego, ze stolicą w Kijowie, pod panowaniem obecnego kandydata do tronu carskiego.

Każdy Polak, który pamięta dobrze przeszłość i orjentuje się choć trochę w rzeczywistej teraźniejszości, musi zrozumieć całą grozę podobnej koncepcji. A więc zmartwychwstaje w tym projekcie dawne przymierze prusko-carskie, skierowane najoczywiściej ku zgnieceniu Polski w żelaznych kleszczach. Nic gorszego nie może nas spotkać. Wszelkie plany ekspansywne nowoczesnej niemieckiej swastyki, wszelka agitacja nowoczesnego

rosyjskiego bolszewizmu są niczem w porównaniu z tym upiorem stabilizacji prusko - rosyjskich stosunków na ideologji białej Rosji, kierowanej — jak dawniej — przez ekspandującego na wschód krzyżackiego ducha. Bo dostateczne chyba mamy już doświadczenie, że hitlerowski narodowy socjalizm i neopoganizm oraz komunizm rosyjski, czy siczowy ukrainizm mogą nam wprawdzie wiele przysparzać kłopotów, ale porozumienie Berlina z Moskwą (czy narazie z Kijowem) na platformie stabilizacji stosunków „małorosyjskich" czy białorosyjskich wogóle równałoby się zagładzie Polski.

A co najsmutniejsze i niemniej dla nas niebezpieczne, to stwierdzony fakt, że groźna ta koncepcja zastrzykiwana jest z Berlina także i Węgrom, przez których terytorjum akcja niemiecka idzie obecnie na wschód. Pewne węgierskie sfery, przyzwyczajone zdawien dawna bezkrytycznie do szukania pomocy pruskiej dla różnych swoich chwilowych bolączek, obawiając się rozrostu ukrainizmu na Rusi Zakarpackiej, idą na lep tej koncepcji kijowsko - małorosyjskiej, nie zdając sobie sprawy z całej głębi jej niebezpieczeństwa. Wiadomo bowiem, że każde porozumienie Prusaka z białym Moskalem jest w ostatecznym rezultacie wymierzone przedewszystkiem przeciw Węgrom i Polakom.

Historja ostatnich czasów wykazuje, że różni, krótkowzroczni politycy polscy, a zwłaszcza węgierscy, nie umieją rozróżniać między Scyllą a Charybdą. Bojowy ukrainizm, komunizm i inne doraźne zjawiska o charakterze przejściowo - rewolucyjnym, to właśnie tylko Scylla, która może częściowe szkody wyrządzić, ale koło której można z okrętem ostatecznie na bezpieczne wody wypłynąć. Tymczasem porozumienie krzyżacko - białorosyjskie, to prawdziwa Charybda, która statki pod flagą polską lub węgierską bez żadnej wątpliwości pochłonie.

Pochłonie — jeżeli Polacy i Węgrzy, zastraszeni chwilowemi ruchami rewolucyjnymi od wschodu i zachodu, którymi są bezprzecznie hitleryzm, bolszewizm i bojowy ukrainizm, dopuszczą do zapoczątkowania „ustabilizowanych" stosunków prusko - rosyjskich, choćby na razie we wstępnej postaci: wybielenia południowej Rosji na „Małorosję" pod komendą Niemiec, Gdyby do tego dojść miało, to lepiej zwinąć odrazu sztandary narodowe w Budapeszcie i Warszawie...!

Ale mamy wszelką nadzieję, że do tego nie dojdzie. Ufamy, że w razie zarysowania się na serjo tej koncepcji na arenie międzynarodowej Polska — wysunie przeciw temu casus belli, a na

Węgrzech wybuchnie protest, którzy usunie od władzy ostatecznie filogermańskie elementy i natchnie społeczeństwo węgierskie większem, niż dotąd, poczuciem samodzielności. Węgrzy — radzimy im to z serdecznego obowiązku — muszą raz nareszcie nauczyć się rozróżniać między małem a wielkiem niebezpieczeństwem, czego my, Polacy, nauczyliśmy się jednak z twardego doświadczenia dziejów.

Węgrzy obawiają się wciąż niebezpieczeństw drobnych: Serbów, Rumunów, Czechów, Hitlerowców i Ukraińców wołoszynowskich. Obawiają się czerwonych bolszewików, masonów i żydów, przeciw którym — niewątpliwie pod wpływem Berlina — uchwalają ustawy eksterminacyjne. Natomiast nie zdają sobie sprawy z najstraszniejszego niebezpieczeństwa: odrodzenia ukrytego w Niemczech ducha bismarckowskiego, a w Rosji białorosyjskiego.

I dlatego uderzamy na alarm! Niech Węgrzy nie sądzą, że przykładamy jakąkolwiek wagę do oficjalnych, zdawkowych przemówień jakiegoś ministra spraw zagranicznych, powtarzającego od dwudziestu lat oklepany frazes, że „przyjaźń polsko-węgierska jest jedną z podstaw węgierskiej polityki". Żaden Polak temu nie uwierzy, gdy widzi, jak to Węgrzy rzucają się bezkrytycznie w objęcia Niemiec — co gorsza — jak niektóre sfery węgierskie witają z entuzjazmem widmo przedwojennej Rosji. W takich warunkach żadne polonofilskie oświadczenia węgierskie, wygłaszane drewnianym głosem z trybuny dyplomatycznej, nie będą miały w opinji polskiej najmniejszego znaczenia.

Przez dwadzieścia lat wbijali nam Węgrzy w mózgi przez swych polityków i uczonych kardynalną tezę, że „bez silnej Polski niema silnych Węgier i naodwrót". Godziliśmy się chętnie na to. Ale niechże teraz Węgrzy pilnie przestrzegają, aby właśnie dla tej swojej, tak mocno głoszonej racji stanu nie robić czegoś, co mogłoby przyczynić się do zasadniczego zaszachowania i osłabienia Polski. Przy całej życzliwości dla ciężko doświadczonego węgierskiego narodu i przy pełnem zrozumieniu wielkich, obustronnych korzyści, jakie mógłby mieć jak najbliższy między nami stosunek, jako twórcy koncepcji „żelaznej belki Warszawa — Budapeszt", nie możemy jednak oprzeć się wrażeniu, że oficjalne sfery węgierskie niczego nie nauczyły się od nieszczęsnych czasów upartego, krótkowzrocznego nacjonalizmu Tieszy. Nie nauczyły się tej wielkiej a bardzo praktycznej praw-

dy, że do celów patrjotycznych nie można dążyć bezkarnie za jaką bądź cenę. Węgrzy współcześni wciąż jeszcze dążą do restytucji swego wielkiego państwa drogą wiązania się z tymi obcymi czynikami, którym w istocie właśnie na tem zależy, aby Węgry pozostały krajem małym i słabym i bezwolnem narzędziem w ich ręku.

Dwóch mają Węgrzy i Polska prawdziwie wielkich wrogów: Prusaków i Moskali. Niechże nad tą prawdą zastanowią się dobrze prawdziwi patrjoci węgierscy!

A tymczasem sprawdza się w zabawny sposób dawna przepowiednia i teza, głoszona przed paru laty na łamach tego wydawnictwa: Czesi muszą być i będą tak przyparci do muru, że nie znajdą innego wyjścia, jak zwrócenie się do Polski.

Istotnie zwrot ten staje się widoczny. Ale czy nie zapóźno? Bo Czechy, to obecnie już nic innego, jak autonomiczna część składowa Rzeszy! Jakąż wartość praktyczną może dla Polski takie państeweczko i taki naród przedstawiać, który przez dwadzieścia lat ział przeciw nam najbezwzględniejszą nienawiścią, podjudzał przeciw nam bolszewików, Niemców i całą zachodnią Europę, wspierał przeciw nam wywrotowe organizacje ukraińskie oraz wszelkie konspiracyjne zamachy — a teraz nagle, gdy dostał się pod panowanie Niemiec, nie przelawszy ani kropli krwi za niepodległość swej ojczyzny, chce się nam narzucać z braterstwem po niewczasie!

Nie, szanowni „pobratymcy słowiańscy", ani nam się nie śni zadzierać z Niemcami z waszego powodu. Tak naiwną Polska nie jest. Kasztanów czeskich z pieca niemieckiego wyciągać nie będzie. Próżne są blagi wasze i waszych niezbyt już licznych w Polsce zwolenników, jakoby przyjaźń słowiańska między nami a wami mogła nam być pomocną w nowej „grunwaldzkiej rozprawie" z Niemcami. Widzieliśmy na własne oczy niedawno, jak to wy z poza waszej słynnej linji Maginota umieliście walczyć z Niemcami. Wiemy, że umiecie uciskać słabszych lub okradać z tyłu niespodziewanie, a w prawdziwej wojnie tylko składać broń i przekształcać się usłużnie na Moskali, Niemców lub nawet bolszewików. Widzieliśmy to w ciągu całej ubiegłej ćwierci wieku na każdym waszym kroku bez wyjątku.

Więc teraz sympatji waszych absolutnie nam już niepotrzeba i w żadną pomoc, ani wogóle w żadną wartość waszą nie wie-

rzymy. Bohemica fides! Wiemy, że Czech zdradzał i zdradza każdego każdej chwili.

A zresztą mamy przecież od szeregu lat pakt o nieagresji z Niemcami, który wytrzymał dotąd różne próby — gdy z waszej strony, mili pobratymcy czescy, doznaliśmy do niedawna samych aktów wrogich w nieprzerwanym ciągu. A że z archeologicznego pobratymstwa szczepowego w nowoczesnych stosunkach międzynarodowych głośno się śmiejemy, więc sprawę waszą, czesko-morawską, uważamy w taki sam sposób — i z daleko większem uzasadnieniem realnem — za problem wewnętrzny Rzeszy, jak wy swego czasu uważaliście sprawę Polską za problem wewnętrzno-rosyjski. Ta tylko zachodzi różnica, że my Niemcom przeciw wam nie pomagamy, podczas gdy wy pomagaliście ze wszystkich sił Rosji na zgubę naszego państwa i narodu.

I dlatego zwróćcie się o pomoc tam, gdzieście powstali: do francuskiej i amerykańskiej masonerji!

Przeczuwamy, że nie jeden z naszych czytelników, wychowany w ideologji słowiańskiego braterstwa, jako niby jakiejś wielkości realnej,, zwróci się przeciw nam z oburzeniem za powyższe twarde słowa. Jakto? — zawoła — a więc Nasza Przyszłość „zdradza" świętą sprawę słowiańską i pozostawia pobratymczy naród czeski Niemcom na przepadłe! Zgroza, hańba, germanofilstwo!

Uspokójcie się, szanowni ewentualni krytycy. Żadna zdrada żadnej sprawy słowiańskiej i żadne germanofilstwo, skoro kategorycznie żądamy Gdańska, a całkiem niedawno na łamach tego wydawnictwa zastrzegliśmy się nadto, że z pretensji do całego Śląska opolskiego i do polskich obszarów Prus Wschodnich absolutnie nie rezygnujemy. Wreszcie — i nie na ostatku — sygnalizujemy wciąż aktualne niebezpieczeństwo organizacji i ekspansji żywiołu niemieckiego w samej Polsce, na zachodzie, w centrum i na wschodzie kraju i jesteśmy w tej chwili jedynym może ośrodkiem pracy i propagandy, który, wbrew różnym subtelnym przemilczeniom innych krajowych czynników, bije wciąż na alarm z powodu okrążania nas przez Niemcy także od południa — drogą przez Słowację, Węgry i Ruś Zakarpacką.

A to nie jest chyba objawem germanofilizmu. To my raczej moglibyśmy zarzucić reszcie naszych współrodaków zbyt wielkie, mimowolne uginanie się psychiczne przed rzekomą potęgą hitleryzmu. Ale właśnie dlatego, że my tej potęgi niemieckiej,

praktycznie biorąc, wcale się tak dalece nie obawiamy, nie widzimy najmniejszego powodu do tak zabawnych a zupełnie bezproduktywnych aktów rozpaczy, jakie robią ci z naszych rodaków, którzy ze strachu przed Berlinem chcą odświeżać jakieś przedpotopowe archeologiczne wspólnoty słowiańskie polsko-czeskie, w karygodnie naiwnem mniemaniu, że krocie tysięcy braci słowiańskich z nad Wełtawy, uzbrojonych w stalowe hełmy i maski gazowe, w towarzystwie tysięcy dział, tanków i samolotów dopomogą nam zetrzeć w proch „krzyżacką zawieruchę"!

Na takie kawały, na takie koziołki obiecankowe niech sobie Czesi i ich niepoprawni polscy poplecznicy szukają w Polsce naiwnych. Może ich znajdą spore garście, bo wiadomo, że głupota ludzka nie ma granic i że specjalnie wśród Polaków nie brak nigdy donkiszotów. Niechże ci dosiadają słowiańskiego Rozynanta i kruszą kopję na wszechsłowiańskich wiatrakach. My zaś postawimy nasze trzeźwe pytanie: Jak to bronili Czesi przed inwazją niemiecką swej ojczyzny? I realna odpowiedź na to pytanie wyklucza u nas odrazu wszelkie fantazje o jakiejkolwiek polsko-czeskiej wspólnocie.

Ale fantazje te mogą stać się niebezpieczne. Bo Czesi, przypinając sobie obecnie skwapliwie swastyki hitlerowskie na rękawach i wchodząc coraz wyraźniej w odwieczną swą rolę niemieckich lancknechtów, delegują dla „słowiańskiej" propagandy w Polsce pewnych polskich uczonych, aby szerzyli „braterstwo kulturalne narodów". Już niektóre polskie gazety podają raz po raz fotografje profesora Szyjkowskiego z Pragi i docenta Gołąbka z Warszawy, jako pionierów tej słowiańskiej wspólnoty kulturalnej!

Najpierw — jaką wartość rzeczywistą przedstawia dla nas czeska kultura? Czyż tamtejsza nauka, literatura i sztuka mogą mierzyć się z naszym dorobkiem na tych polach i czyż są aż tak wielkie, żebyśmy mieli się na serjo z nich czegoś nauczyć? Tysiąckroć więcej dała nam kultura niemiecka, francuska, włoska, angielska, a nawet hiszpańska. Ale czeska? Trochę muzyki tak — ale pozatem nie potrzebujemy chyba aż czeskich nauczycieli. Mamy dość własnych dzieł i mistrzów. Że więc Czesi chcą — o ile naprawdę chcą! — uczyć się po polsku i tłomaczą Sienkiewiczów i Mickiewiczów, to zrozumiałe, ale czyż my mamy istotnie potrzebę fatygować się jeszcze nad stosunkowo mizernym dla nas plonem czeskich elukubracji? Dobre to

dla jakiegoś specjalisty, ale ogół Polaków ma zaiste dość do roboty i do kształcenia się na innych wzorach i polach!

Ważniejszą jednak sprawą jest przytem fakt, który dobrze trzeba sobie uprzytomnić: że jeżeli przez poprzednich lat dwadzieścia tak zwana kultura czeska niosła nam wyraźnie zatrutą atmosferę masońsko-bolszewicką, a specjalnie moskiewską, będąc wasalem czerwonej Rosji, tak obecnie musi, czy chce, czy nie chce, stać się rozsadnikiem polityki niemieckiej, skoro Czechy dostały się z kolei w moc Niemiec.

O takich zasadniczych realjach, mogących niechybnie wydać z biegiem czasu odpowiednio ujemne skutki, nie wolno Polakom zapominać. A specjalnie Polacy z b. zaborów rosyjskiego i pruskiego, którzy większą skłonność wykazują do czechofilstwa, gdyż nie mieli przed wojną światową do czynienia z Czechami w służbie austrajackiej, niech przypomną sobie, że największym wrogiem Polaków i polskości w b. zaborze austrjackim byli zawsze Czesi — i to zarówno w dziedzinie politycznej, jak i gospodarczej.

Ale, zapyta może czytelnik, co to wszystko ma wspólnego ze sprawą Gdańska?

Bardzo wiele, gdyż żadna sprawa zagraniczna, a zwłaszcza pograniczna, nie bywa nigdy jakimś drobnym odcinkiem izolowanym, lecz łączy się organicznie z pewnym całokształtem daleko szerszych problemów.

Uderzenie więc polskiej opinji publicznej i polskich pożądań w kierunku Gdańska, stoi w najściślejszym związku z widoczną już taktyką pewnych sfer niemieckich okrążenia Polski od północy i od południa. Jak od południa jaskrawym kamieniem milowym w niemieckim pochodzie jest Ruś zakarpacka, tak na północy jest Gdańsk. Jedno więc i drugie musimy i możemy zlikwidować wzbudzeniem odpowiedniego polskiego naporu w tych kierunkach.

A jakże ta nasza ofenzywa na Gdańsk — ten groźny cierń, wbity w ciało Polski przez perfidne czynniki wersalskie — da się pogodzić z paktem o nieagresji i utrzymaniem dobrych stosunków z Niemcami? Właśnie, że doskonale da się pogodzić i rzec można nawet więcej:

inkorporacja Gdańska do Polski jest jednym z kardynalnych warunków utrwalenia dobrych stosunków między Niemcami a Polską.

Dlaczego? Z bardzo prostego powodu: Gdańsk jest prawnie w znacznej mierze miastem polskiem, a nie jest prawnie wcale miastem Rzeszy. Polska ma coś do powiedzenia i częściowo na-

wet do rządzenia się w Gdańsku. Państwo niemieckie nie ma tam żadnych praw.

A jeżeli hitlerowcy, czy inni niemieccy nacjonaliści chcą się tam rządzić jure caduco jak szare gęsi, dążąc do zdobycia Gdańska dla Rzeszy, to z daleko większym uprawnieniem mogą i powinni robić tam Polacy jak najszerszą i najintensywniejszą propagandę. Dlaczego słyszy się wciąż o niemieckich wyczynach agresywnych, a nie słyszy się nic o polskiej akcji, chyba tylko ex post defenzywnej? Dlaczego Polacy mają być zawsze i wszędzie jak te wzorowe dzieci szkolne, dostające dobre świadectwa od nauczycieli (w tym wypadku od zakłamanych mocarstw europejskich), ale bite wciąż przez mniej wzorowych, a zato energiczniejszych kolegów? Już przeciw tym polskim „Musterkindom", przeciw tej cierpiętniczej polskiej słabości kobiecej, przeciw tej kwietystycznej defenzywności polskiej psychiki — która niby ma być szczytem mądrości politycznej!!! — zaczyna w energiczniejszych umysłach kiełkować nastawienie buntu. I nie chodzi tu wcale o jakieś przyziemne różnice partyjno-polityczne, gdyż ludzie dzielniejsi z różnych sfer i partji zaczynają zgadzać się w każdym razie na tym jednym przynajmniej punkcie, że nowoczesny Polak nie powinien być na arenie międzynarodowej subtelnie grzecznym niedołęgą!

Zgadzamy się z tem w zupełności, że Polska nie powinna przystępować do żadnych bloków faszystowskich, ani antyfaszystowskich, lecz zachować sobie swobodę postępowania w każdym poszczególnym wypadku. Ale równocześnie twierdzimy stanowczo, że samemi dekretami pochwalnemi obcych mężów stanu, wystawianymi grzecznej a pokornej polskiej dziewicy, mocarstwa polskiego nigdy się nie zbuduje.

Jeżeli Włosi atakują obecnie francuski Tunis, gdzie nigdy żadnych praw nie mieli i wbijają w mózgi Europy, że jest to w znacznym stopniu „włoska ziemia" — to z o ileż większem prawem i rozmachem winniśmy wciskać się do Gdańska i wbijać w mózgi całemu światu, że to polska ziemia, że to ujście naszej rdzennej rzeki!

Praktycznie rzecz stawiając, proponujemy, aby, jak w pewnych innych państwach powstały potężne zrzeszenia dla propagandy pewnych wielkich celów narodowych, tak i u nas niech powstanie ogólno-narodowy związek prywatny, działający celowo, konsekwentnie a energicznie dla odzyskania i wcielenia Gdańska.

A przy tem miejmy baczne oko zwrócone na najmniejsze nawet przejawy popierania wrogich nam żywiołów białorosyjskich przez Niemców. Stokroć gorsze to dla nas niebezpieczeństwo, niż poprzednie popieranie przez Berlin bojowych Ukraińców lub przez Pragę tychże Ukraińców i bolszewików.

Żadnej nie ulega wątpliwości, że z Polską, występującą ofenzywnie i z należytym uświadomieniem przeciw wszystkim powyższym zakusom, Niemcy daleko więcej liczyć się będą i pokój między obu państwami będzie właśnie przez to tem lepiej ustalony.

7 marca 1939.

Sekcja dla Spraw Zagr.
Zw. Polskiej Myśli Państwowej.

Bolszewizm moskiewski jako przejaw upadku cywilizacji Wschodu*)

Człowiek — miarą cywilizacji

Ex oriente lux! — Światło ze wschodu. Często powtarzamy ten frazes. Jeśli ma być brany poważnie, to jakże pogodzić go z faktem, że dziś właśnie świat odgradza się od Wschodu? Odgradza się przed idącym ze wschodu już nie słupem ognistym, który wskazuje drogę do obiecanej ziemi, ideału, ale przed chmurą ciemności, która zapowiada pogrążenie w odmęcie rewolucji, zepchnięcie cywilizacji w inferno zagłady.

Czy jest możliwe, by wschód, w przekonaniu szerokiem, kolebka cywilizacji ludzkiej, stał się trumną, ziejącą trupim zaduchem?

A jednak tak jest.

To zjawisko rozkładu i upadku cywilizacji wschodniej kulminuje — zdaniem wielu głębokich myślicieli — w bolszewiźmie. Ten właśnie bolszewizm stanowi dziś treść owej inwazji „ex oriente lux", zagrażając cywilizacji powszechnej.

Cóż to jest cywilizacja?

Posłuchajmy opinji wybitnego orjentalisty, prof. Collège de France, Jana Przyłuskiego:

— „Cywilizacja w sensie absolutnym jest mitem; żaden z ludów jej nie posiada i nikt o tak rozumianej cywilizacji nie ma jasnego wyobrażenia". (Humanizm a cywilizacje. 6.V.38. Przemówienie w U. J. P., str. 19 Przegląd Współczesny, Nr. 12, 1938, str. 19).

Istnieją natomiast w sensie względnym i konkretnym cywilizacje, odpowiadające ściśle określonym warunkom czasu i miejsca.

Będzie zatem pewnego rodzaju nieporozumieniem identyfikowanie takiej cywilizacji chwili przemijającej z absolutną cywilizacją ludzkości. Jest to swoista uzurpacja.

---

*) Odczyt, wygłoszony w Kołach Tow. Wiedzy Wojskowej w Kobryniu, Prużanie, Kowlu i Nieświeżu.

Nie mniej przecież obserwujemy fakt, że „dzisiaj częściej, niż kiedykolwiek przedtem, rozprawia się o zagrożeniu cywilizacji; znaczy to, że my, Europejczycy, uważamy siebie za właściwych przedstawicieli najpełniejszej i najistotniejszej cywilizacji i poczuwamy się do jej obrony w interesie całej ludzkości" — powiada J. Przyłuski i dodaje, idąc śladami uogólnień takich historyków, jak Oswald Spengler („Untergang des Abendlandes"), że „wojna i powojenne kataklizmy udowodniły w dostatecznej mierze przywary i winy naszych europejskich społeczeństw. Autorytet Europy, tak jeszcze wspaniały w XIX wieku, zbladł w oczach ludów azjatyckich, których ilościowa potęga i duchowe zalety zaciążą z pewnością nad losami ludzkości".

Jak widzimy, nasz rodak, pracujący pod sztadarem francuskiej nauki, wypowiada zdanie, wprost przeciwnie naszemu.

Coprawda, francuska elita kulturalna — może to jest wynikiem przymusowego zwycięstwa w ostatniej wojnie i całej atmosfery narodu wymierającego, jakim są Francuzi — raz po raz podkreśla wyczerpanie się potencjału ekspansywnego cywilizacji zachodniej i zaczyna lokować na bliższym czy dalszym wschodzie nawet centrum chrześcijaństwa. Ks. Bsp. Baudrillart, członek Akademji Francuskiej, powiada, że niedaleka może już jest chwila, kiedy będziemy całować pierścień rybaka, jak wiadomo noszony przez Papieży, na ręku jakiegoś skośnookiego Ojca Świętego.....!

Pożyteczną jest więc rzeczą na wstępie rozważań niniejszych wysunąć głosy, kwestjonujące prymat cywilizacji zachodniej i jej uniwersalne właściwości, aby właśnie tem mocniej udowodnić istnienie pierwiastków uniwersalistycznych w cywilizacji europejskiej i jej zagrożenie przez elementy rozkładu cywilizacji wschodniej.

Chętnie zgadzamy się z naszym, wyżej wspomnianym orjentalistą, że cywilizacja jest „przedmiotem ustawicznej wymiany ludów i pokoleń" i że w zależności od konkretnych wypadków każda epoka i każdy ośrodek ważniejszy życia ludzkości ma inny, własny ideał cywilizacyjny.

Mimo tej odrębności i niepowtarzalności istnieje jednak w cywilizacjach ludzkich coś głęboko wspólnego, coś bezwzględnie identycznego. Jest to stosunek do człowieka.

I miarą tego stosunku określa się wartość i rolę tej czy innej cywilizacji, jej uniwersalizm czy partykularyzm, jej twórczą lub katastroficzną postawę.

Właśnie na płaszczyźnie stosunku do człowieka — z tego punktu widzenia określamy niebezpieczeństwo bolszewizmu, widząc w nim produkt rozpadu cywilizacji wschodu. Dlatego właśnie mówimy o cywilizacji zachodniej, europejskiej, jako o cywilizacji humanistycznej, personalistycznej, a cywilizację wschodnią, z jej dzisiejszym pseudoidealem bolszewickim, określamy jako barbarzyńską stadowość.

Europa — azylem cywilizacji?!

A nie mija 2000 lat, kiedy pojęcie Europy było właśnie równoznaczne z barbarzyństwem. W opisie Herodota spotykamy się z dziwnem określeniem. Mówiąc o wyprawie perskiej stwierdza, że król perski chciał przeprowadzić swoją armję do Grecji „po przebyciu ziemi Europy". Orpos lub Europas — były to ziemie, sąsiadujące bezpośrednio od północy z Grecją.

Z czasem nazwa ta upowszechniła się dla określenia całego terytorjum ziem nazewnątrz Grecji i Rzymu, których „obywatel był jedyną istotą cywilizowaną, bowiem poza cywilizacją grecką i rzymską rozpościerało się barbarzystwo".

A dziś dziedzice tego barbarzyństwa uważają się zarówno za spadkobierców Grecji i Rzymu i wyrażają lęk przed zagrożeniem ich stanu posiadania cywilizacyjnego przez inne barbarzyństwo.

Tempora muntantur et nos mutamur in illis.

Zmieniając się jednak, absorbujemy elementy z barbarzyńskiego tworzywa i włączamy je do skarbca cywilizacyjnego ludzkości, kwalifikując doń to, co odpowiada założeniu humanistycznemu cywilizacji powszechnej.

Cywilizacja zatem uniwersalna, to synkretyzm pożytecznych form z dorobku cywilizacji konkretnych, ujmowanych z punktu widzenia ich stosunku do człowieka.

Mówiąc o niebezpieczeństwie zagłady cywilizacji przez bolszewizm, mamy na myśli jego szczególną nieprzystosowalność, nieprzydatność, a nawet wręcz wrogość względem powszechnego ideału cywilizacyjnego ludzkości.

Ileż trzeba jednak dojrzałości duchowej, by określić tę przydatność cywilizacyjną poszczególnych zjawisk kulturalnych, społecznych czy politycznych?

„Fidjasz nicby nie pojął w liściach kapuścianych, w żabach, karłach, potworach, dłótowanych u podnóża każdej katedry gotyckiej; Wirgiljusz plunąłby na „Fausta" Goethego: bo im trzeba było symetrji, jedności, regularności, co pochodziło stąd, że

oni tylko jedną część człowieka znali, to jest ciało i z tej części jedność zupełną wyidealizowali.

My zaś pstrocizny musimy używać, bo śpiewamy o stworzeniu, złożonem z duszy i ciała, między któremi zachodzi walka, sprzeczność i ból i ruch. To, odbite w naszej architekturze, w naszej poezji, stanowi pstrociznę. Stąd my bardziej rzeczywistymi jesteśmy, prawdziwszymi, a zatem poetyczniejszymi, niż oni. Oni materjalnie bardziej idealnymi byli... Od starożytnych odsadziliśmy się skokiem ogromnym. W tym rzucie fałdy tuniki, fibule, toga zsunęły się i zmięły na piersiach ludzkości; ale jej duch dziwnie wypiękniał i wyzwolił się".

Ten dłuższy cytat jednego z myślicieli XIX-go w. dobrze oddaje przeciwieństwa różnych cywilizacji, polegające na utożsamianiu akcydensu z całością ideału cywilizacyjnego. Doskonale też uwydatnia zasadniczą różnicę między statycznem pojmowaniem cywilizacji materjalistycznej, dążącej do formalnego uporządkowania życia, a dynamicznem pojmowaniem cywilizacji duchowej, zmierzającej do wytknięcia podstawowych celów swobodnej egzystencji jednostek ludzkich.

Ten punkt widzenia formalny, zwany ideałem socjalnym, albo komuną, wysuwa się na czoło programu bolszewickiego i obejmuje rolę ideału cywilizacyjnego. I w tem właśnie tkwi ta przerażająca dysproporcja w stosunku do humanistycznej cywilizacji europejskiej.

Bolszewizm — geograficznie rzecz biorąc — skoncentrował się na terenie wielkiego państwa wschodu: Rosji. Nie znaczy to jednak, by uważać go za zjawisko czysto lokalne. Przeciwnie, niby nowotwór rakowaty, przejawia on silne właściwości przerzucania swoich macek po całej Europie, a zresztą i kuli ziemskiej.

Zjawisko to przerzucania się tendencji nihilistycznych po szerokiej przestrzeni ziem wyraźnie już podkreślił Cyprjan Norwid, pisząc o rewolucjoniźmie (luty 1877 r.) co następuje:

„Arcystarej formy grevy-pomsty słowiańskiej używa w swej lewicy ogromna socjalna rewolucja przez cały środek kontynentu rozlegająca się. Najplastyczniej uwidocznia się ona na dobie w Rosji... bowiem znalazła tam podręczności najplastyczniejsze. Taż sama pierwej w Niemczech doszła do scyentyficznego i politycznego zorganizowania..."

„Nihiliści w tej wielkiej rewolucji, która najmniej rozciąga falę swoję od Frankfurtu do Odessy — najmniej mówię — zajmują takie stanowisko przypadkowo nominalne, jak „la montange"

(górale — przyp. nasz) we wielkim francuskim parlamencie — są fatalną lewicą wśród grupujących się historycznymi wypadkami żywiołów".

W tym charakterystycznym cytacie, jeśli się zważy datę wypowiedzenia się Norwida, zwraca uwagę, że:

1. Rosję uważa on za naturalną bazę eksperymentu rewolucyjnego.

2. Niemcom przypisuje rolę ośrodka doktrynalnego.

3. Podkreśla promieniowanie ideji rewolucyjnej po całej Europie.

4. Zwraca uwagę na wykorzystanie przez rewolucję elementarnych przejawów odwetu.

Idea rewolucyjna zatem — filozoficzny kształt znajdująca na Zachodzie, naturalną glebę do rozwoju ma na wschodzie, w Rosji. A więc forma myśli zachodnia, najbardziej precyzyjna, jaką znamy, zaś dynamizm rozprzestrzeniania się wschodni — najżywszy z możliwych — oto, co charakteryzuje postęp rewolucjonizmu.

Idea rewolucyjna, jak powiada polski materjalista dziejowy Ludwik Krzywicki „nierozwiniętym i niezorganizowanym pierwiastkom społecznym wskazuje drogę postępowania, aż wreszcie w ten czy inny sposób przeinacza bieg dziejów, który bez jej wdania się może przybrałby nieco inny kierunek".

(L. Krzywicki. Studja socjologiczne, str. 47 „Wędrówka idei").

Więc „idea" — rewolucyjna, ale bądź co bądź idea — jako motor dziejów.

A skoro idea, to wydawać się musi już nie całkiem możliwe odmawianie à la longue pierwiastków humanistycznych rewolucjonizmowi. Przyjrzyjmy się bliżej, jak ten humanizm wygląda? Krzywicki uważa, że w „liczbie czynników rozwoju społecznego znajdzie się miejsce nawet dla nosa Kleopatry". Powtarza tu w nieco odmiennej postaci zdanie Pascala, który rozważając tok dziejów ludzkich wspomina, że jakże inaczej by one wyglądały, gdyby inaczej wyglądał nos Kleopatry. Oczywiście te słowa nabierają zgoła innego znaczenia w ustach myśliciela, hołdującego teologicznemu światopoglądowi, a zgoła coś odmiennego znaczą w ustach materjalisty, wyznającego „monizm".

Nos Kleopatry w ustach materjalisty to jest maximum wpływu personalnego na dzieje ludzkie, jaki on dopuszcza. Losy ludz-

kości układają się bowiem zdaniem materjalistów jako wypadkowa działania czynników ekonomicznych czy technicznych. Przecież taki liberalny ekonomista jak Fr. Delaisi stawia jako punkt wyjścia nowej ery stosunków ludzkich fakt zmiany zaprzęgu ze szleji na chomąto itp.

Oto jak w rezultacie najgłębszym redukuje się wpływ „idei" na życie społeczeństw, branych z punktu widzenia materjalistycznego.

Na tle tych zresztą bardzo ogólnikowych rozważań zrozumieć nam łatwiej przyjdzie całą tę pseudologję sprawiedliwośsi społecznej, jaką rozwija komunizm czy bolszewizm. Źródła jego są niewątpliwie wschodnie, kabalistyczno-talmudyczne. Teizm i mesjanizm starotestamentowy uległy w nich takiemu spaczeniu, jak ów „nos Kleopatry" według wersji Krzywickiego w porównaniu ze słowami Pascala.

Formalnie brzmi wszystko prawie tak samo, tylko porządek rzeczy, hierarchja wartości jest całkowicie odwrócona. Gdy człowiek jest koroną układu społecznego, opartego na założeniach metafizycznych, to w ramach materjalizmu dziejowego jest tylko rzeczą wśród rzeczy. A cała hiperstruktura ideowa emulacji tych „myślących rzeczy", — gdy humanizm mówi o podmiocie dziejów, — jest równie niewytrwała jak ich byt fizyczny i jego ekonomiczne podstawy.

Taki to rewolucjonizm pojęć przyniósł światu potomek rabinacki Marchodaj Marx.

Dalszą ich rozbudową teoretyczną zajęli się coprawda — na Zachodzie, zwłaszcza w Niemczech — stuprocentowi aryjczycy. Obok Marxa, Lassalle'a (zresztą przyjaciela Bismarcka, związanego z nim nićmi ideowymi), Singera, Bernsteina, Róży Luxemburg, występują autentyczni Niemcy, kto wie czy nie długogłowcy i blondyni z „sasy" Reihengraeber.

Towarzyszem Marxsa był Engels, współautor Manifestu Komunistycznego, wielbicielem autora „Kapitału" był Rodbertus. A weźmy innych człowych socjalistów, jak Bebel, Liebknecht, Vollmar, Schippel, Mehring, Scheidemann, Ebert, Müller.

Czyż Ficht, twórca nacjonalizmu niemieckiego, nie pozostawił rozpraw socjalistycznych? Hegel — czyż nie położył podstaw zarówno pod uniwersalizm komunistyczny, jak totalizm nacjonal-socjalistyczny?

Oto jak działał trujący, dehumanizujący duch wschodu, którego poczynania i wpływy obserwujemy znacznie zresztą wcześ-

niej, żeby nie sięgając za daleko wymienić tylko herezję Lutra, jakkolwiek L. Krzywicki urąga Mistrzowi Marcinowi, jako przedstawicielowi „filisterstwa społecznego". Ale za to historyk żydowski Graetz pisze wyraźnie, że późniejszy antysemityzm Lutra powstał i był tolerowany dla zatarcia śladów judaistycznych w dążeniach i tezach protestantyzmu.

Przykładem takiego „filisterstwa" i utylitaryzmu może służyć inny znacznie już późniejszy heretyk, Ludendorf, który nie zawahał się wysłać do Rosji w zaplombowanym wagonie Lenina i Kamieniewa, osobistości zawierające w ekstrakcie to wszystko, co najgorszego wyniknąć mogło z oddziaływania wschodniego nihilizmu na ludzką kulturę. Czyż nie budzi zdumienia, że Hitler, pod którego egidą zaczął się następnie kształtować blok antybolszewicki, jeszcze w r. 1935 oświadczył w Reichstagu: „o ile bolszewizm jest sprawą rosyjską, o tyle nie interesujemy się nim zupełnie. Niech każdy naród myśli po swojemu o swym szczęściu".

Jednak kanclerz Hitler musiał się przekonać, że „bolszewickie szczęście" jest artykułem eksportowym — bardzo niebezpiecznym.

I tak jest. A ponieważ jesteśmy w najbliższem sąsiedztwie tego eksportera, więc nie wolno spuszczać nam z oczu tego, co się u niego dzieje.

»Mistyka« bolszewicka

Nie należy popełniać banalnego błędu, uważając, że marksista pozbawiony jest ideałów.

Naodwrót, socjalista, komunista czy wreszcie rosyjski bolszewik — kwintesencja rozkładu wschodniej cywilizacji, posiada swoiste ideały, poświęca się i ponosi dla nich ofiary, walczy o nie i często nawet ginie za nie.

Oczywiście ideał bolszewika jest różny od ideału innych ludzi. Jego najwyższą wartością jest życie, pojęte docześnie, a nie wiecznie. Życie — jako cykl interesów, zamkniętych między wczoraj, a dniem jutrzejszym, między kolebką a grobem.

Ideał tak pojęty, jest utylitarny, tuzinkowo użytkowy, banalnie doświadczalny. Treścią jego są liczne dobra, potrzebne do najwszechstronniejszego zaspokojenia potrzeb ludzkich zmysłów.

Życie ma zaspakajać pełnię pożądań fizjo-biologicznych i ufundowanej na nich nadbudowy psychicznej. Ma dać możność ogar-

nięcia całego obszaru zjawisk świata wszerz i wzdłuż, wgłąb i wzwyż.

Nie tylko jednostki, ale i masy, jako suma mechaniczna wszystkich jednostek, mają się poczuć — bez żadnej reszty — szczęśliwe. Państwo komunistyczne — wobec zniesienia własności prywatnej i zniwelowania różnic klasowych — każdemu będzie mogło wydzielić jego porcję szczęścia idealnie równą miarą, bo przecież wszyscy mają jednakowe żołądki. A pełny żołądek — zdaniem bolszewików — stanowi główny fundament pełni dobrobytu nietylko ciała, ale serca i umysłu.

Powstaje swoista mistyka bytu, opartego na sytym brzuchu; zjawia się jakieś opętańcze wpatrzenie w pępek konkretnej, zmysłowo uchwytnej rzeczywistości.

Tę mistykę rozszerza po świecie zatruty oddech upadłej cywilizacji wschodniej.

Niewątpliwie to zjawisko miał na myśli Kernezih, mówiąc o niebezpieczeństwie „penser par images mistiques asiatiques". (Le Yoga de l'Occident. Paris 1938).

Przed tą przerażającą fantasmagorją wschodu ostrzegał naród Sienkiewicz, mówiąc o niebezpieczeństwie infiltracji bizantynizmu i nihilizmu za pośrednictwem Rosji, pod układną formą „szirokoj ruskoj natury". Ostrzeżenie to podchwycił i wzmocnił jeszcze głęboki znawca zakamarków duszy rosyjskiej M. Zdziechowski.

Właściwości moskiewszczyzny, jako jedynego w swoim rodzaju rozczynu wszystkich zgubnych pierwiastków ludzkiej cywilizacji, zawsze podkreślali polscy myśliciele. Wystarczy wymienić tu chociażby Hoene-Wrońskiego, który w odmalowywaniu tendencji „zgraji piekielnej", szykującej światu zagładę, niema sobie równego, jeśli chodzi o doktrynalny i historjozoficzny koloryt.

Niezwykle też plastyczną wizję perwersji kultury moskiewskiej przedstawił Zygmunt Krasiński w korespondencji do Napoleona III z r. 1854.

„Rosja jest wytworem pierwiastków najbardziej złowrogich i najbardziej rozkładowych, jakie są w historji. Zepsucie wyrafinowane ostatnich czasów Bizancjum przeszło w jej kościół i jej dyplomację. Srogość nieubłagana, a zimna chanów mongolskich stała się sprężyną jej administracji. Urządzenia gminne pierwotnych słowian przechowały się u jej ludu. Rosja jest wielkim komunizmem, rządzonym przez władzę zarazem wojskową i teokra-

tyczną — ta władza zaś, równa terrorowi z r. 1793 w okropności, jest od niego nierównie wyższą w swojej organizacji i w swej zdolności trwania. Danton, Marat i Robespierre, to figury blade, jeśli się je postawi obok takich rewolucjonistów, jak Iwan Groźny, jak Piotr I, jak Mikołaj I. Sami tylko cesarzowie rzymscy, władcy motłochu, stojącego na granicy socjalizmu, mogliby godnie znieść to porównanie.... „Następnie Krasiński przestrzega przed metodami działania caratu moskiewskiego, w ten sposób go charakteryzując: „Poda (on) rękę wszystkim tajnym stowarzyszeniom, wszystkim konspiracjom i skrytym konszachtom. Będzie je opłacał swoim złotem, a popierał intrygami. Słowem odda całą swoją potęgę na usługi rewolucji socjalnej, aby obalić trony tych dynastji, co świeżo zerwały z nim przymierze, albo nim wzgardziły".

Niemniej zdecydowaną prognozę czyni Kraszewski:

„We wszystkim snać Moskwa lubi krasne, czerwone — pod względem moralnym także.... Socjalizm azjatycki może dłoń podać europejskiemu i obalić chrześcijańską społeczność. Rozpaść się może tym wysiłkiem Moskwa, ale gruzami przywali Europę".

Józef Gołuchowski wskazywał zaś wyraźnie na zalążki komunizmu w systemie agrarnym Rosji.

W tych warunkach, jako jedyna konkluzja wobec moskiewskiego niebezpieczeństwa, trzeba powtórzyć za Krasińskim: „Jeśli Rosja ma przestać być plagą, gotową zawsze spaść na kościół, na cywilizację, na świat, to jest na to tylko jeden sposób: doprowadzić ją do zupełnej niemocy".

Cyprian Norwid wobec niebezpieczeństwa nihilizmu — termin ten zresztą nieco odmiennie komentuje — wyraźnie powiada, że w naszej idei narodowej jest ta siła, która powinna sprawić, aby „Polska była mogła coś więcej historycznego względem siebie począć, aniżeli być objęta z dołu prądami nieuniknionego i szerokiego biegu rzeczy" to znaczy „tej wielkiej rewolucji, która najmniej rozciąga się falą swoją od Frankfurtu do Odessy".

Rewolucja! Jakaż w niej tkwi siła demoniczna, jeśli właśnie w takiej Rosji, znalazła „najplastyczniejsze uwidocznienie" — jak powiada Norwid?! W tej Rosji, o której „co do własności, godzi się mieć na pamięci, iż ostatni mużyk moskiewski bieglej obraca pieniędzmi od wielu europejskich kapitalistów; a co do ateizmu, należy domniemywać słusznie, iż tam, gdzie jest przeszło 80 sekt, zaprawdę, że religijne potrzeby istnieją nieco ży-

wiej, aniżeli w niejednym kącie ucywilizowanego jakiego kraju...". (Cyprjan Kamil Norwid. List luty — marzec 1877).

W tych warunkach wydaje się pożyteczne zastanowić głębiej nad tym, w jaki to sposób rewolucjoniści dostają się najpierw do steru opinji, a następnie do władzy?

Otóż trzeba to rozsądnie przyznać, biorą sobie oni najpierw asumpt z istniejącego w każdym układzie stosunków niezadowolenia. Fakt ten bardzo dobitnie podkreśla Norwid: „Semipontyfikalnej pamięci Kazimierz Wielki, kmieci-król, skoro skarżącemu się na uciski panów ludowi mówił: „azali nie macie krzesiwa i krzemienia?" — zaiste, że nihilistą nie był, ale podejmował tylko ludową tradycję podpalania wyrodnych sąsiadów, a tradycję starą, jak zawiązywanie się siół pierwotnych. „Co może zły sąsiad, o tym świadczy owa scena z rycerzem w boju rannym, który na zapytanie rzucone przez Łokietka, ojca Kazimierza W., czy bardzo cierpi z powodu wyprutych jelit, odparł: „mniej boli ta rana, niż złe sąsiedztwo".

Do tego elementarnego poczucia krzywdy i domagania się sprawiedliwości apelują rewolucjoniści. Oczywiście wywołanie takiej „wolnej satysfakcji mas" najczęściej „ze zbrodnią graniczy i takową obejma". Ale to już inna kwestja.

A teraz pytanie drugie, co rewolucjoniści obiecują dać po takiem zniwelowaniu krzywdy i krzywdzicieli? Bo dopiero jasna odpowiedź na to pytanie może nam wykazać, czy program rewolucyjny jest racjonalny nie tylko od strony negatywnej, ale i pozytywnej.

Niestety jakże dalecy są rewolucjoniści od tego wymagania, które postawił im Brzozowski w „Płomieniach", powieści będącej jedną z najwspanialszych analiz rosyjskiego rewolucjonizmu. Autor „Legendy" powiada:

„Rewolucyjna działalność, aby była zdrowa, opierać się musi na pozytywnej treści, którą wnosi w życie organizujące ją pokolenie... Rewolucjonista walczy w imieniu swojej myślowo istniejącej już rzeczywistości, która jest bogatsza, niż ta, przeciw której on występuje". (Płomienie II.8).

Nie kwestjonując prawa każdego pokolenia do wzbogacenia życia społecznego własnym dorobkiem, musimy jednak zadać pytanie, na czem polega kryterjum tej „pozytywnej i bogatszej" treści programu rewolucyjnego? I skąd pewność, że program taki, krwawemi najczęściej okupiony ofiarami, zostanie naprawdę w życie wprowadzony, choćby w najmniejszym zakresie?

Jest to zagadnienie tak zasadnicze i poważne i tak rzadko przytem stawiane, nietylko już nawet w stosunkach rosyjskich, na właściwej płaszczyźnie, że trzeba wskazać, za Brzozowskim, na grożące z tej strony niebezpieczeństwo „wytworzenia się atmosfery samej walki, samego zaprzeczenia, bezwartościowej swobody; wtedy już świat rewolucyjny idzie, żyje tylko siłą pozyskanego rozpędu. Wyradza się pokolenie epigonów o pustce w głowach i wielkiej zuchwałości. Zuchwałości, nie męstwie, gdyż aby naprawdę głęboko sięgać w rzeczywistość, trzeba ją zrozumieć".

Rewolucjoniści rosyjscy ani chcą, ani potrafią zrozumieć rzeczywistości, stąd program ich działania jest tylko jednym porywem bezpłodnego buntu i burzycielstwa, jednym permanentnym zamachem na rzeczywistość. Są to „rewolucjoniści z profesji", wieczni awanturnicy, chcący zbawić świat — naprzekór światu... Ich ojczyzna, Rosja, mimo wszystko, co oni czynią, trwa wypełniona po brzegi błotem rozkładu moralnego.

„Dajcie mi taki punkcik, aby na nim życie przetrwać było można, aby błoto rosyjskie w dusze nie kapało. I z całą geometrją wykreśloną i analityczną, z całą trygonometrją sferyczną napróżno szukać będziecie i nie znajdziecie. Zawsze się odnajdzie jedna taka nić i za nią człowieka ściągnie aż na dno" — powiada Kuźniecow w „Płomieniach" Brzozowskiego (t. I.7).

Odwet przez rewolucję

Czem jest w istocie swej komunizm rosyjski, jeśli nie odwetem wschodniego, moskiewskiego barbarzyństwa na zachodniej cywilizacji? I jeśli nie ślepo namiętnym odruchem wyzwalania się z kompleksu niższości, zrzucania z psychiki ciężaru wysokogatunkowej kultury europejskiej.

Dla Rosji, ledwo podciągniętej wzwyż drakońskiemi reformami Piotra W., nie wyłączając fryzjerskich przepisów o goleniu bród, — i już przez niego pchniętej ku bezbożnictwu (słynne bluźniercze uczty z profanacją sakramentów oraz klerobójstwo) — bolszewizm vel socjalizm był jedyną dostępną próbą wyzwolenia się od zmory barbarzyństwa, które tak dobitnie uwydatnił w Rosjanach Czaadajew, w soczystych obrazach kreślił Coustin, bez pardonu stygmatyzował Michelet, czy Krasiński.

Rewolucja stać się miała w tych warunkach receptą zagrożonego patrjotyzmu, szukającego dróg rewaloryzacji pozycji Rosji wśród cywilizowanego świata. Nie mogąc świata dogonić, a tym-

bardziej przegonić w jego pochodzie cywilizacyjnym — należało go zahamować, zbić z nóg.

Stąd wyłania się już mistyczny program ocalenia, zbawienia Rosji i świata przez rewolucję, mesjanistyczna mrzonka rezurekcji powszechnej w oparach krwi i dymach pożarów — przez sadystyczny gwałt barbarzyńcy nad coraz bardziej oczyszczającą się cywilizacją ludzką.

Komunizm rosyjski stał się mimowiedną — jeśli o szerszy ogół idzie, bo wtajemniczeni dobrze o tym wiedzieli — transpozycją mesjanizmu żydowskiego, zwyrodniałego po odrzuceniu Jezusa, ewangelją odwetu politycznego i psychicznego ze strony maluczkiego duchem, umysłem, kulturą kołtuna rosyjskiego, — dziką reakcją przeciw hegemonji cywilizacji starszych, dojrzalszych, wyższych, wiernych tradycji mesjanizmu prawdziwego, nie uznającego ofiary krwawej. Stąd wyłoniła się formuła, że

„Zachód europejski to burżuj cywilizacji ludzkiej, to nadkapitalista historycznej ewolucji". Trzeba go strącić z tronu, trzeba wedrzeć się na jego Olimp, zajrzeć mu w twarz, wymuskaną przez kosmetykę odwiecznej kultury, skazić ją splunięciem zawiści, oszpecić ciosem mordeczego noża, a szczyt materjalny tej cywilizacji zniwelować do poziomu barbarzyństwa maluczkich, nikczemnych, poniżonych.

Jedynym, dostępnym — w tym ujęciu — awansem dla ciemnoty jest zgasić kagańce kultury, zdegradować wkopać jaśnie oświeconych w „błoto rosyjskie".

Bunt parjasów ducha — porachunek ich bezsiły cywilizacyjnej z dorobkiem kulturalnym świata — miał przynieść wyrównanie, miał Rosję postawić na świeczniku wśród pustyni zniszczonej cywilizacji.

„Upragniona katastrofa starego świata — powiada Kucharzewski (Od białego do czerwonego caratu II.417) — to socjalna bitwa pod Połtawą z ludami starej cywilizacji, zwycięska dla Rosji... Rewolucja rosyjska, wciągająca w swój wir całą kulę ziemską, rozcinała za jednym zamachem wszystkie węzły tragedji rosyjskiej: obalała carat, powoływała lud do życia samoistnego i kierowniczego w państwie, wprowadzała Rosję do rodziny ludów, jako naród równy, ale przodujący".

Co za porywająca perspektywa!

Nic dziwnego, że Hercen „w mistycznej ekstazie kreślił obraz mużyka rosyjskiego, parjasa cywilizacji, zamęczonego, ujarzmionego a przechowującego w pokorze i prostocie prawdę życia —

gminę. Ci maluczcy, jak niegdyś rybacy galilejscy, przechowują ziarno prawdy, które odrodzi Rosję i świat cały".

Takie sprecyzowanie ideału cywilizacyjnego, wysunięcie chama jako pioniera tego ideału — to zdecydowana imwersja pojęcia ewangelicznej prostoty.

Chrystus głosił hasło prostoty i wysuwał prototyp ubogiego duchem na wzór dla człowieka. Ale prostota to nie jest prostactwo i barbarzyństwo, a ubogi duchem to w żadnym razie nie „gradiuszczyj cham".

Prostota ewangeliczna polega przedewszystkiem na opanowaniu chaosu w duszy ludzkiej przez ustalenie hierarchji dóbr w taki sposób, by wieczność górowała na doczesnością, duch nad ciałem, korzyść moralna nad korzyścią materjalną.

Inaczej czyni i głosi prostactwo. Nie mogąc osiągnąć szczytów duchowej kultury — zaprzecza jej istnieniu, na czoło zaś wysuwa ideał równości rozdziału dóbr materjalnych, twierdząc, że jednakowo obdarzeni chlebem, złotem czy innymi dobrami ludzie staną się równi i wolni. Trzeba — mówią — wyzwolić człowieka z więzów zależności ekonomicznej, a przez to oswobodzi się go z niewoli społecznej, moralnej i religijnej — która jest bezpośrednim skutkiem uzależnień gospodarczych.

Tymczasem ideał ewangelicznego ubóstwa, naodwrót, każe nie zwracać najmniejszej uwagi na ilość posiadanych dóbr, bowiem miarą ducha, a nie ciała i materji oceniać się będzie wartość człowieka.

Niewystarczy więc rozdawanie dóbr, zabranych pod przymusem u bogaczy, — biedakom, by stali się ci ostatni równi i wolni, już nawet nie w sensie moralnym, a czysto materjalnym. Choćby każdemu do kieszeni nasypać po równu złota, w niczem to nie przesądza zdolności prawidłowego, pożytecznego jego zużycia. Do tego potrzeba, po za uzdolnieniami technogospodarczemi, ładu wewnętrznego, poczucia hierarchji wartości i działań.

A tego nie da żadna rewolucja, choćby najkrwawsza!

Można rozpętać saturnalja barbarzyństwa, można zatopić start realizacji nowego „sprawiedliwego podziału dóbr" w potokach krwi, można sprowadzić piekło na ziemię, słowem pchnąć świat na pełną apokaliptycznej grozy drogę wyzwolenia — i w rezultacie nie osiągnąć nic, prócz ruin, dewastacji aparatu politycznego i gospodarczego i kompletnego zezwierzęcenia człowieka, rozszalałego od zapachu krwi.

Jedyną wtedy konsekwencją staje się niebywałe spotęgowanie despotyzmu i niewoli społeczno-ekonomicznej, aby rozpętane zwierzę ludzkie ująć znów w karby niezbędnej tresury.

Rewolucja powszechna — to, według nadzieji jej sprawców, katastrofa kosmiczna.

Na rewolucji sprawdza się ewangeliczna wskazówka, że nie można szatana wypędzać belzebubem. W rezultacie wróci w towarzystwie siedmiu innych gorszych duchów.

„Jeden element katastrofy rewolucyjnej — to radość negacji wszystkiego, co istnieje, drugi to przepojenie państwa negacji duchem dawnego systemu“ — powiada Kucharzewski. Na początek zupełna anarchja, na koniec renesans despotyzmu.

Taka jest szydercza logika rewolucji spełnionej.

Despotyzm rosyjski — produkt upadku cywilizacji wschodniej — zatruł jadem procesów rozpadu nie tylko pokolenie, które było jego wyrazicielem, ale również i to, które go postanowiło obalić, przezwyciężyć, wynagrodzić jego krzywdy. „Po mnie przyjdzie moja karykatura — to był mściwy testament skazanego na zagładę caratu“. „Kontrcarat, po długoletnim męczącym wyczekiwaniu na swą erę, zacznie od realizowania szaleństw, o których czasem roili despoci na tronie, lecz których nie ziszczali, licząc się ze zdrowym sensem i sądem ludzkości“. (Kucharzewski op. cit. 114 — 116 t. I). Cechy despotji, którą rewolucja obaliła, odezwały się w jej twórcach i ich dziele w absurdalnym wprost spotęgowaniu.

W ten sposób rewolucja okazała się spadkobierczynią carskiej tyranji. I dlatego można bez przesady powiedzieć, że nie było ani caratu, ani niema bolszewizmu, jest natomiast i trwa niezmiennie Rosja — dziwaczny stwór historyczny o treści barbarzyńskiej, spokostowany niedbale pozorami humanistycznej cywilizacji.

Istnieje Moskwa — pełna odruchów nienawiści wobec tych, którym zawdzięcza choć częściowe podniesienie do poziomu wyższej kultury.

Głęboko ujął tę prawdę Conrad-Korzeniowski, mówiąc, że Europę wciąż straszy:

„zgrzybiałe widmo potęgi rosyjskiej. Dziwaczne to trwogą przejmujące zjawisko, najeżone bagnetami, uzbrojone w kajdany i świętościami obwieszone; to coś nie z tego świata, coś z upiora, żerującego na ciałach ludzkich... mistycznie zuchwałe... zwyciężające narody tylko na poły rozbrojone, co jako wyko-

nanie ulubionej idei ekspansji terytorjalnej, okaże nam najlepiej rzut oka na mapę ... Trudno uwierzyć, że przez cały ten czas nikt nie zgłębił prawdziwej istoty straszydła. Leży ona (Rosja) poza nurtem postępu... Prawdziwa pustynia, w której nie żywie duch ani Wschodu, ani Zachodu ... Barbarzyńskie, rozkładowe działanie tego systemu na tysiące umysłów ludzkich..., wyniszczanie jakiejkolwiek nadziei intelektualnej stało się główną tajemnicą rządzenia w tym państwie... Wymawianie w obliczu takiej przeszłości słowa ewolucja, która właśnie jest wyrazem najwyższej nadziei intelektualnej, zakrawałoby na ponury żart. Niema ewolucyjnego wydostania się z grobu... Dla samowładztwa świętej Rosi jedyna możliwa samo-reforma to samobójstwo."

Tak jest — marzy się Rosji samobójstwo, ale samobójstwo zbiorowe. Rosja che wciągnąć w nurt swej depresji moralnej i politycznej cały świat, chce sprowadzić nań szaleństwo takiej antypatji do samego siebie, stan takiego samoobrzydzenia życia, by w asyście rozszalałych narodów popełnić straszliwe samobójstwo, skoczyć z płaszczyzny mozolnej ewolucji — w bezdenną przepaść rewolucji — samozniszczenia.

Taką właśnie afirmacją swej mocy, afirmacją przez negację — afirmacją w formie zbiorowego samobójstwa kusi Rosja Europę. Niech żyje śmierć! — woła w ekspiacyjnem opętaniu.

Jest to perwersyjna pokusa drugiej, powszechnej tym razem, Golgoty — wielkiego umęczenia całej ludzkości, które ma przynieść w rzekomym rezultacie — rezurekcję nowego, lepszego człowieka.

Ideowe tropy tej bezprzykładnej desperacji wytknął na płaszczyźnie literackiej Tołstoj w swym perfidnym „Zmartwychwstaniu", wskazał je również Dostojewski, kładąc w usta jednego z bohaterów „Biesów" powiedzenie, że gotów jest nawet odebrać sobie życie, byle tylko dowieść, że wola jego nie zna żadnych hamulców i granic. Ni pana ni Boga.

Pereo, ut resurgeram.

Brzmi to nieomal chrystologicznie, a jest straszliwym, potwornym w swej istocie szyderstwem i naigrawaniem się z tajemnicy chrześcijańskiego odkupienia i pokajania.

Jest skondensowanem szaleństwem antychrystycznem.

Dla pełni zrozumienia duszy rosyjskiej, w której kulminuje owo straszne w swej grozie spaczenie cywilizacji Wschodu, wskazać w konkluzji należy na jeden jeszcze moment. Stanowi go pokrewieństwo duszy rosyjskiej z żydowską.

Barstardyzm ideowy Moskwy, przypisującej sobie w drodze inwersji, rolę III Rzymu, znajduje kapitalny odpowiednik w bastardyzmie Żydostwa, wyposażającego siebie w rolę Mesjasza Narodów.

Naturalny podkład do zespolenia się obu tych zwyrodniałych megalomańskich koncepcji i tendencji stanowi azjatyzm, charakter azjatycki obu cywilizacji: rosyjskiej i żydowskiej. Wiemy zresztą dziś już dokładnie, jaki wpływ na dzieje rosyjskie miało państwo Chazarskie — jedna z wielu kreacji wojującego semityzmu. Jeśli dziś mówi się o stworzeniu Republiki Żydowskiej, gdzieś nad brzegami Donu, to tylko ignoranci nie dostrzegą w tym nawiązywania do tradycji chazarskich.

Głębokie pokrewieństwo rosyjsko-żydowskie było nieraz podkreślane przez rdzennych rosyjskich pisarzy. Charakterystyczne pod tym względem są uwagi znanego filozofa Rozanowa, neopoganina rosyjskiego, wyznawcy kultu słońca, błogosławiącego go za to, że ożywia trawy, na których się pasą mlekodajne krowy... Pocóż Bóg, skoro krowa karmi mlekiem... Ów Rozanow, z właściwą Moskalom illogicznością, rozstawał się z tym światem wśród bicia cerkiewnych dzwonów i przy asyście popa.

Rozanow powiada o Żydach i Moskalach: „Zdumiewające podobieństwo z Żydami. My, podobnie do Żydów, powołani jesteśmy do objawień idei i uczuć, do modlitwy i muzyki, lecz nie do panowania. Opanowaliśmy jednak na nieszczęście i ku zgubie ciała i duszy 1/6 część lądu. Opanowaliśmy i w istocie rzeczy popsuliśmy 1/6 część kontynentu. Glob ziemski tego nie wytrzymał i wywrócił wszystko. To glob ziemski wywrócił wszystko, nie zaś Niemcy..." Po tych melancholijnych uwagach, w których oczywiście owo ogólnikowe określenie „glob ziemski" poprostu należałoby zastąpić terminem Żydzi — ciągnie Rozanow dalej: „Żydzi z szacunkiem, miłością i czułością odnoszą się do Rosjan, nawet z dziwnym, w porównaniu z Europejczykami, wyróżnieniem. I to posiada swą przyczynę: w świństwie Rosjan ujawnia się pewna drogocenna wartość: intymność, serdeczność i Żydzi — posiadają ją również..." („Apokalipsis naszewo wremieni" 1918).

Na tle tych rewelacyjnych wynurzeń można dopiero zrozumieć genezę rewolucji październikowej. Na tym tle nabiera też szczególnego znaczenia genjalna intuicja Krasińskiego, który w chórze przechrztów wyraził cały potencjał rewolucyjny, zagrażający światu. Właśnie w Rosji mógł się w całej

pełni wyhodować pod maską chrześcijaństwa — wróg Chrystusa i ludzkości, straszliwy wojujący bezbożnik, podpalacz świata, ołtarzy i tronów.

Dawność bolszewizmu moskiewskiego

Bolszewizm, czyli maksymalizm, jako zjawisko społeczno-polityczne, nie jest w Rosji czemś nowem. Tkwi on głębokimi korzeniami w całej przeszłości rosyjskiej.

Dobrze znany i poważany dyplomata francuski Paléologue, miał usłyszeć od wyższego oficera rosyjskiego następujące wyznanie:

„Nasi dzisiejsi anarchiści, marząc o wysadzeniu w powietrze ustroju społecznego pod pretekstem całkowitego jego odnowienia, nie wiedzą o tym, że czerpią natchnienie od Piotra. Podobni są do niego w swej fantastycznej nienawiści przeszłości. Jak on wyobrażają sobie, że można zmienić całą duszę ludu przez rozkazy i tortury. Powiadam Panu: Piotr Aleksiejewicz (Piotr Wielki) jest prawdziwym przodkiem i poprzednikiem naszych rewolucjonistów" (Paléologue — Les precurseurs de Lenine. Paris. 1937).

Nie wiele różni się ta opinja od tego, co ongiś, za Aleksandra II, głosił nacjonalista Aksanow, co — dziś za Stalina I-ego, głosi arystokrata, przedzierzgnięty w komunistę, hr. Aleksy Tołstoj, pisząc monografję Piotra W., jako model do monografji „Ojca Rewolucji", co stwierdza nakoniec Dmitrjewskij w bardzo pochlebnej monografji o tymże Stalinie, którego zasługi militarne stawia na równi z zasługami „białogwardzistów": Kałczaka czy Denikina. Możnaby mnożyć listę przykładową biografów, zachwycających się Piotrem W., jako promotorem rewolucyjnych przemian w Rosji. (Klutchewsky. „Pierre le grand et son oevre. Paris. Colin. N. de Basilli. „La Russie sous les Sovietes". Paris. Plon). A czyż zresztą cały obóz Milukowa nie dostrzega w Stalinie przedstawiciela klasycznego rosyjskiego samodzierżawja?

Lecz na Piotrze Wielkim nie kończy się lista prekursorów. W następnym za nimi szeregu możnaby postawić hr. Arakczejewa, niedoszłego reformatora za czasów Aleksandra I-ego. Coprawda jego reformy pomyślane były pod kątem niedopuszczenia rewolucji, ale same w sobie były tak głęboko rewolucyjne, że i bolszewicy nie idą dalej.

W r. 1816 pisał Arakczejew do Sperańskiego, malując przed nim obraz organizacji, podobnej do fourrierowskich falansterów, ale po moskiewsku zbrutalizowanych:

„Panu się nie podoba moja organizacja osad społecznych, ale niech pan wniknie w jej statut, w myśl przewodnią jej organizatora, a przekona się Pan, iż państwo będzie miało z tego dużą korzyść. Domy są ponumerowane i otwarte dla kontroli dniem i nocą. W koszarowych budynkach mieści się razem po kilkanaście rodzin. Żadna opozycja nie zagnieździ się w tych otwartych, nieoparkanionych domach koszarowych. Mieszkańcy tych osad wstają na komendę (bębnem), pracują na komendę i odpoczywają na komendę. Jeśli przekształcę całą Rosję w tego rodzaju osiedla — żadna rewolucja nigdy nie wybuchnie u nas i my — Rosjanie — będziemy zagrażać całemu światu potęgą swej organizacji."

A ostatecznie — cóż innego głosił Lenin czy Stalin, pragnąc dokonać „rewolucji w jednym kraju" — czyli w Rosji, by potem „rozpętać pożar przewrotu światowego" (ma na gore wsiem burżujam mirawoj pażar razdujem).

Arakczejew przypomina — w nakreślonym powyżej obrazie kontroli państwa nad obywatelem — samego Lenina, który na jednym z posiedzeń W. C. I. K. w r. 1902 miał powiedzieć z powodu kryzysu i przeludnienia mieszkań:

„Ach to bardzo dobrze, to nam na rękę. Uszczuplenie mieszkań sprawi to, że będziemy wiedzieli wszystko, o czym mówią i co robią nasi obywatele. Życzyłbym sobie zniesienia wszystkich parkanów i murów i — co najważniejsze — domów ze szkła. Gdyby jeszcze wymyślić jakieś aparaty dla kontrolowania myśli ludzkich, wówczas nasza „czerezwyczajka" nie popełniałaby błędów".

Ideałem organizacji pracy Arakczejewa, podobnie jak dziś bolszewików, jest kolektyw:

„Wszyscy razem pracują, razem zbierają ziemiopłody i zwożą do magazynów państwowych. Każdy z pracowników ma swoją rację żywnościową, swój „pajek". Ziemia należy do państwa, zaś mieszkańcy moich osiedli są pracownikami państwowymi. Pilniejsi otrzymują nagrody, próżniacy będą w soboty dostawać baty."

Z punktu widzenia pełnej dyscypliny tak pojętej organizacji odpowiednio też musi wyglądać wymiar sprawiedliwości. Arakczejew wyraźnie o tym mówi w tonie, którego nie powstydziłby się najzagorzalszy bolszewik.

„Ci, co zdobywszy kapitały lub wiedzę, chcą mędrkować i przeciwko rządowi bruździć — pisze do Kankryna — nie będą oddawani pod sąd, który ma zbyt długą i skomplikowaną procedurę, lecz zostaną ukarani w drodze administracyjnej. Będziemy pozbawiać ich kapitałów i tytułów naukowych i zamykać w koszarach, gdzie surowy regulamin wyleczy niepokornych z wszelkiej opozycyjności."

Proszę, czyż nie jest to program tak dobrze nam znanych represji z kapitalnym ich narzędziem — obozami koncentracyjnemi!

Wobec tego nie powinien nas zdziwić fakt, że Arakczejew wymyślił również prawzór dzisiejszej czerezwyczajki — „lotne brygady ochrony interesów monarchji". Miałyby one prawo wkraczać do mieszkań nawet wysoko postawionej szlachty i ziemian, dokonywać rewizji, zabierać korespondencję, poufne dokumenty, i t. d.

Arakczejew nie byłby doskonałym prototypem tyrana rosyjskiego, jakiego w stu procentach reprezentuje Stalin, gdyby dla zaokrąglenia swego systemu nie pomyślał o religji.

„...wprowadziłem i biblję i ewangelję do swych osiedli. Popi pomagają mej władzy, głosząc dogmaty religijne. Jeśli przestaną pomagać — przepędzimy popów! Zresztą z wielką chęcią wymyśliłbym dla narodu rosyjskiego jakąś nową, mniej skomplikowaną religię, korzystną dla interesów państwa lecz, niestety, na to nie mam czasu".

Znaleźli się tacy, którzy mieli czas, aby „wymyślić" nową religję dla steroryzowanych społeczeństw, religję bezbożnictwa, religję „komunistycznego raju" z kagańcem na twarzy, kajdanami na rękach, umysłach i sercach.

„Reformy" Arakczejewa nie doszły do skutku, gdyż następca Aleksandra I, Mikołaj I-szy, okazał się z jednej strony satrapą, nie znoszącym żadnej większej indywidualności koło siebie, z drugiej strony potrafiącym się wdzięczyć do liberałów (Puszkin, Gogol).

Nie ulega wątpliwości, że reakcyjna polityka Mikołaja I-ego, pokryta — jak to bezlitośnie w swym obrazie dramatycznym objawił ostatnio J. Iwaszkiewisz w stosunku do Puszkina — równie niezręcznie płaszczem kokieterji dla rewolucyjnej satyry Gogola, stała się pobudką ruchów irredentystycznych nowego typu. Mikołaj I nie popełnił błędu Ludwika XVI, choć naśladował jego mecenasowskie manjery, nie oszczędzał spiskowców, okrywających się „fałszywym mianem wolności", ale

zato sprowokował inny spisek, którego wodzem okazał się pół Żyd Hercen i szlachcic Bakunin. Spisek narazie pełen deklamacja rewolucyjnej, ale zapowiadającej burzę, która miała w jakieś niecałe lat sto znieść całą dynastję.

Ów półkrwi judejczyk wołał w swym „Kołokole":

— „Niech zginie świat dzisiejszy, który dusi nowego człowieka i zagradza drogę przyszłości. Niech więc żyje chaos i zniszczenie. Niech żyje śmierć. Miejsce dla przyszłości".

— Niech żyje śmierć! — oto paradoksalny skrót tego programu, który w bolszewiźmie osiągnął szczyt. Programu, którego treścią jest nieokiełznane, niepohamowane niszczenie wszystkiego, co reprezentuje stary ład społeczny.

To apokaliptyczne upajanie się wizją zniszczenia, ten eschatologizm rewolucyjno-burzycielski stanowi — jak wiemy — jedno ze znamion zwyrodnienia ducha wschodu i jego cywilizacji.

Posłuchajmy do czego wzywa godny towarzysz Hercena, Bakunin:

„Nie mamy innej ojczyzny, jak powszechna rewolucja. Oswobodzenie nas wymaga zburzenia wszystkich instytucji politycznych, religijnych, cywilnych i społecznych, na których się opiera świat dzisiejszy. Trzeba zniweczyć państwo, cerkiew, trybunały, banki, administrację, policję, armję... trzeba obalić je nie w jednym kraju, lecz we wszystkich" i poniesiony szałem okrucieństwa konkluduje: „Rewolucja całkowita może się dokonać tylko przez rzeź; przejdzie ona w swej okropności wszystko, co zna historja, wszystko, co Zachód sobie może wyobrazić".

Na tym tle obaj zagorzalcy szukają „pomazańca", któryby całe to nowe dzieło „odkupienia" świata przez krew i ruinę całych społeczeństw dokonał. Tym „mesjaszem" ma być prosty lud: „Idźcie do ludu. Idźcie w lud. Pomócie mu zdobyć ziemię i wolność".

Bakunin wręcz oczekuje, że lud współczesny dokona dzieła rewolucyjnego, które swą grozą przejdzie pugaczewszczyznę.

Trzeba to sobie dobrze zapamiętać wobec znaczenia, jakie twórca bolszewizmu, Lenin, przywiązywał do tradycji narodowolców, wskazując na nich, jako na praojców maksymalizmu socjalistycznego.

Dzisiaj prawowierność ideologiczna bolszewizmu mierzy się znajomością tej tradycji. Pamięć o nich należała nietylko do katechizmu partyjnego, ale już przez Lenina była wskazywana ja-

ko wdzięczny wątek dla literackich poczynań twórczych. Oczywiście należy przy tym pamiętać o roli wychowwczej jaką literatura spełnia w systemie bolszewickim.

Jeśli literatom zadaje się pewne „pensum“ z zakresu prehistorji bolszewizmu i szuka dla nich natchnienia w postaciach Bakunina, Hercena, Perowskiej, Żelabowa et consortes — to tego rodzaju zjawisko nie jest tylko czysto estetyczną dywagacją, lecz posiada ściśle określony ideologiczny i polityczny charakter i cel.

Typy rewolucjonistów i ich likwidacja

Zagadnieniem marginesowem w stosunku do głównego tematu, posiadającym jednak wielkie praktyczne konsekwencje — jest ustalenie możliwości oddziaływania bolszewizmu rosyjskiego na ludzi Zachodu.

To oddziaływanie uwarunkowane jest — po za szeregiem czynników socjalno-ekonomicznych — w znacznym stopniu występowaniem wśród społeczeństw specjalnych typów ludzkich, których psychika podatna jest na ideowe i praktyczne impulsy bolszewizmu.

Da się ustalić — syntetycznie biorąc, jak to próbuje zrobić szereg myślicieli i psychologów, żeby u nas wymienić ks. J. Pastuszkę — cztery takie typy podatne na bolszewickie sugestje.

1) Typ utopijny, 2) typ amoralny, 3) typ rewolucyjno-awanturniczy, 4) typ rozgoryczenia życiowego.

— Do robienia rewolucji nadają się szczególnie utopiści. Podlegają oni łatwo złudzeniu, że od jednego zamachu da się urzeczywistnić idealny ustrój społeczny. Bujna wyobraźnia utopistów rysuje im czarowny obraz „raju na ziemi“. Nic dziwnego, że dusza ich jest bardzo podatna i reaguje bardzo żywo na fata morgana, rozsnuwane przez propagandę bolszewicką. Uniesieni widokiem ułudnego krajobrazu „społeczeństwa szczęśliwego“ egzaltują się i ulegają specjalnemu, histerycznemu podnieceniu. W tym stanie dopuszczają się czynów, które normalnego człowieka zmroziłyby swą grozą. Robespierre oddawał się natchnieniom poetyckim, ronił łzy nad bohaterami sentymentalnych powieścideł, a jednocześnie bez najmniejszego drżenia czy cienia wątpliwości posyłał tysiące ludzi na gilotynę. Jego wyobraźnia, przeładowana poetyckimi czy dramatycznymi nastrojami, nie znajdowała już miejsca na wrażenia z au-

tentycznej rzeczywistości, Kto wie, czy nie przykrawał — bez najmniejszego poczucia odpowiedzialności moralnej, czy politycznej — tej rzeczywistości na modłę swoich urojeń poetyckich. Klasyczne jest — dla przykładu — powiedzenie Balzaka, który znudzony opowiadanim przez jednego ze znajomych najrozmaitszych aktualnostek, powiedział najspokojniej w świecie: „A teraz wróćmy do rzeczywistości. Zastanówmy się, co teraz robi nasz przyjaciel Lucien Rubempre". Dla Balzaka „rzeczywistością" był świat postaci „Komedje ludzkie". Dla rewolucjonisty - utopisty jest nią świat jego złudzeń socjalnych.

Taki Marat pisał płomienne artykuły, roił na jawie o jakimś zaczarowanym Schlarafenlandzie i w rezultacie karmił stalowy nóż gilotyny ludzkiem mięsem, zwożonym na wózkach.

Czyż nie podejrzanym wydaje nam się humanitaryzm dr. Guillotina, który zamiast zapobiec rozlewowi krwi, wysilił swój mózg na wymyślenie narzędzia kaźni możliwie najsprawniej działającego?

Lenin? Przecież A. Ossendowski nakreślił nam jego portret duchowy o rysach nieomal ascety. „Ten oto „asceta" zasłał Rosję tysiącami trupów. Następca jego Stalin okazał się już zwykłym awanturnikiem.

Klasycznym przykładem utopisty może służyć Tomasz Morus, kanonizowany przez Kościół św. Oczywiście jego „utopja" ma pewne rysy persyflażowe, ale w gruncie rzeczy jest jedną jeszcze próbą załatwienia w świecie marzeń tych problemów, których nie można zrealizować w rzeczywistości.

Marzenia Campanelli, czy pomysły spiralicznego rozwoju ludzkości wszystko to świeci księżycowym blaskiem utopji, pożyczającej światła od słońca życia. Utopistów nigdy nie zabraknie. Nigdy umysł ludzki nie przestanie tworzyć miraży niewzruszalnego szczęścia, nie zamąconego postępu. I dlatego komunizmowi nie zabraknie zwolenników wśród tej kategorji ludzi, którzy aby stać się aniołami zbawienia dla przyszłych pokoleń, podejmują rolę katów wobec swych współczesnych.

W komunizmie szczególnie bujny rozkwit znajduje typ amoralny, źle czujący się w ramach norm etyki i tradycji. Amoraliści całe swe życie oparli na odwróconym porządku wartości. Ich ideałem jest pieniądz, czy wogóle korzyść materjalna, ich celem oczywiście już nie żadna asceza, lecz rozpasanie zmysłowe. Wymarzonym dla nich klimatem jest komunizm. Odrzuca on bowiem wszelkie sprawdziany ideowe, czy moralne, poza jedynie momentami ekonomicznemi. Tyle, że tę socjali-

styczną ekonomję przystosowali oni do potrzeb prywatnych i można powiedzieć streścili w dewizie: „Jedz, pij i popuszczaj swawoli w imię dyktatury proletarjatu".

— Drzwi do wymarzonego raju przygód i wszelakich sensacyj, mrożących krew w żyłach, otwiera bolszewizm dla typu rewolucyjno-awanturniczego. Czego to człowiek nie może doświadczyć pod ociekającymi purpurą sztandarami demagogów, którzy refren „krew naszą długo lały katy" przekształcili na motto dla własnego katowskiego rzemiosła?! Mogą w niem wyżyć się do syta, mogą rzucić na jedną kartę, na płonący stos, by zdobyć albo władzę taką, że w głowie się kręci, albo stryczek, który okręci się dokoła szyji.

— Grupę, wcale nie tak znów rzadką i nieliczną, rozczarowanych do życia najświetniej bodaj scharakteryzował autor „Zaratustry". Ich dusza huśta się między dwoma biegunami krańcowo przeciwnych nastrojów. Na jednym panuje mróz poczucia „Minderwertigkeitskompleks", na drugim tropikalna temperatura Nadczłowieka. Między rozpaczliwem poczuciem bezsiły, a samoubóstwieniem kołyszą się oni na cieniutkiej nitce, którą snuje ich rozgoryczenie i duch buntu.

Aż wreszcie ten stan niepewności, wahania się w nieskończoność staje się nie do wytrzymania. Następuje wybuch o nieobliczalnej mocy. Zamach gigantów dla zdobycia wymarzonego nieba, owego „raju" utraconego, czy respektiwe okupowanego przez uprzywilejowanych.

Tego rodzaju poruszeniom rewolucyjnym mogą ulegać również i masy zwłaszcza, jeśli znajdą się na ich czele jednostki, wcielające z perwersyjną siłą podświadomie tkwiące w każdym poczuciu resentymentu życiowego. Jednostki, potęgujące to straszliwe „schizofreniczne" rozszczepienie osobowości między dwoma krańcami zwątpienia i zadufania.

Wybitny socjolog W. Sombart mocno podkreśla zwichnięcie równowagi psychicznej u kierowniczych jednostek socjalizmu i komunizmu. Wyobcowani kiedyś pozorami układu społecznego powzięli chorobliwą wprost nienawiść do całej ludzkości i straszliwe w swej narzutliwości pragnienie zemsty.

Istna idea fixe, manja prześladowcza. Na sprzysiężenie całego świata — które maluje im wyobraźnia — odpowiadają potwornem sprzysiężeniem pomsty.

Wśród takich pomyleńców wymienić należy Saint-Simona, Fouriera, Proudhona, Lassalle'a, Bakunina i Karola Marxa.

W tej grupie można też umieścić od biedy Lenina. Zresztą jego rozgoryczenie życiowe tłomaczy się zupełnie wyraźnie podłożem patologicznem (paranoja na tle syfilitycznem).

Tak uporządkowawszy sobie ten materjał ludzki, który szczególnie łatwo zbiega się pod sztandary bolszewickie, należy odpowiednio przeprowadzić kontrakcję.

Utopistów zaprząc do realizacji pewnych krańcowych haseł, o podłożu idealistycznym, a więc do ascezy religijnej, czy choćby pseudoreligijnej. Amoralnych zawsze tępić środkami policyjnemi i karnemu, jakie są pod ręką. Represje zawsze potrafią ich ugiąć. Awanturnikom podsunąć przed oczy szereg celów praktycznych o dużym rozmachu. Doskonale ich można zaabsorbować polityką imperjalną i ekspansywną. Paranoików i politycznych schizofreników izolować w szpitalach, czy gdzie tam wypadnie. Piętnować ich głupstwa odpowiednią propagandą o charakterze raczej satyry niż represji.

Bolszewizm nie jest zjawiskiem chwilowem w życiu Rosji. Kształtował się on tam od wieków na tle nienaturalnego krzyżowania się wpływów i przejawów schyłkowości kultur Zachodu i Wschodu (bizantynizm, cezaropapizm, satrapja, materjalizm i socjalizm eurazjatycki, i nakoniec herezja światowego judaizmu, jako false-mesjanizmu).

Bolszewicki ideał, ład i układ ideowo - społeczny, właściwie biorąc, jest tylko zmodernizowaną formułką starego ustroju i nastroju, panujących na moskiewskim wschodzie.

Materjalistyczny i komunistyczny bolszewizm — jako wyraz bastardyzmu ideowo - kulturalnego Moskwy, jest nietylko niższy cywilizacyjnie, ale i zasadniczo, programowo wrogi kulturze europejskiej, duchowej i personalistycznej.

Moskale zarówno z pod znaków białego jak i czerwonego caratu pod wpływem poczucia niższości i zacofania kulturalnego — zawsze szli i iść będą na podbój Europy, aby ją zniszczyć, podeptać, ujarzmić i upodlić. Od Piotra W. przez Kutuzowa do Lenina i Stalina ciągnie się konsekwentna i nieprzerwana linja tradycji walki Moskwy z Europą pod zmiennymi hasłami raz III Rzymu, drugi raz Kominternu.

Idąc na ten podbój Europy i świata bolszewizm ułatwia sobie zadanie przez szerzenie rozkładowych ideji i haseł, podkopujących

a) wiarę w Boga przez programowe bezbożnictwo,

b) moralność przez etykę bez powinności i sankcji,
c) godność ludzką przez przymus zasad i poglądów oraz niewolę pracy i zrzeszeń,
d) kulturę przez zniszczenie jej podstawowych zdobyczy i propagowanie niezindywidualizowanej kultury proletarjackiej na miejsce zróżniczkowanych kultur narodowych,
e) rodzinę przez wolne związki i wychowanie komunistyczne bez ojca i matki,
f) prawo własności przez etatyzację, socjalizację, kolektywy gospodarcze (spółdzielnie pracy), zarobki znormalizowane.

Bolszewizm sprzeciwia się więc naturze ludzkiej i dotychczasowemu rozwojowi cywilizacji ludzkich, zwłaszcza typu zachodnio-europejskiego, chrześcijańskiego, opartych na założeniu i poszanowaniu wolności człowieka.

Perfidja akcji bolszewizmu polega na szerzeniu swych zgubnych haseł i tendencji częstokroć pod pseudoformą pojęć i wyrażeń zachodnioeuropejskich, zaczerpniętych ze słownika chrześcijańskiego humanizmu, na wdzieraniu się podstępnym do wszelakich organizacji, nawet religijnych, wypaczaniu ich ideji i prac, a wreszcie na rozsadzaniu cywilizacji europejskiej chrześcijańskiej od wewnątrz przez defetyzm.

Z bolszewizmem nie może więc być — jako ze śmiertelnym wrogiem — żadnych paktów ani kompromisów ideowych. Bolszewizm niesie bowiem zagładę naszej cywilizacji, uderza w jej fundamenty bez żadnej litości i względów.

Jest zatem bezapelacyjnym obowiązkiem walczyć do upadłego z wszelkiemi próbami bolszewizacji naszej cywilizacji, przejawiającymi się zwłaszcza:

1) w życiu religijnem przez hasła fałszywej tolerancji,
2) w życiu politycznem przez demoliberalizm i demagogicznie rozdęte swobody obywatelskie,
3) w życiu społecznym przez przymusowe pseudo-„dobrodziejstwa społeczne" różnych ubezpieczeń, tworzących system nowoczesnej niewoli społecznej,
4) w życiu gospodarczym przez etatyzm i przemożny fiskalizm, hasła częściowego „uspołecznienia" pewnych gałęzi produkcji etc.
5) w życiu kulturalnym przez szerzenie hedonizmu i sensualizmu, kultu ciała i tym podobnych przejawów materjalizmu filozoficznego w literaturze, sztuce, teatrze, filmie, muzyce etc.

Walka ta nie może znać wytchnienia. Idzie tu bowiem o być lub nie być całej cywilizacji humanistycznej, chrześcijańskiej.

Nikczemnej i okrutnej ofenzywie bolszewickiej musi być przeciwstawiona kontrofenzywa przedewszystkiem ideowa — przez odpowiednią kontrpropagandę — przedstawicieli świadomych cywilizacji europejskiej.

W nieuniknionej i trwającej już oddawna walce dwuch wzajem wykluczających się światopoglądów, humanistycznego i komunistycznego, nie może zabraknąć nikogo, kto pojmie zadania kultury ludzkiej po chrześcijańsku.

Józef St. Czarnecki.